

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 19-20 (61-62)

Jerozolima, 11 listopada 1945

Rok III

ZYGMENT NOWAKOWSKI

„A WIESZ TY, CO Z POLSKĄ BĘDZIE?”

Swego czasu, lat temu chyba dwadzieścia, byłem w „Reducie” na tzw. „analitycznej” próbie z misterium Kazimierza Tetmajera o Judaszu. Znakomity aktor, a zarazem uparty, konsekwentny w swym artystycznym dziwactwie czy w swej równie artystycznej naiwności, reżyser, Juliusz Osterwa, tłumaczył aktorom, dlaczego narzucił im pewien schemat ruchów, polegający na tym, że grać mieli frontem do widowni wtedy, gdy tekst mówi o rzeczach jasnych, prostych, wiadomych i samo przez się zrozumiałych, że natomiast zwracać się mają w stronę prawą przy myślach „dobrych”, w lewą przy „złych”. Myśl dobra, jak twierdził ten świetny a naiwny artysta, zawsze przychodzi ze strony prawej, zła z lewej, przed nami stoją rzeczy jasne, wiadome, ze nami, z tyłu, wszystko jest ciemne i nieznane.

Oczywiście, ten schemat, narzucony przez Osterwę wykonawcom tetmajerowskiego misterium, jest stary jak teatr, czyli stary jak świat. Nie inaczej ustawił Anioła i Szatana Mickiewicz w III części „Dziadów”. Gdy Konrad mdleje po słowach głoszących, że Bóg nie jest ojcem świata ale carem, dobry, białołopięty duch z prawej strony ulatnia się, i zostaje tylko duch czarny. On to sufluje księdzu Piotrowi pytanie: „A wiesz ty, co z Polską będzie za lat dwieście?”...

Wydało mi się, że choć staramy się dzisiaj patrzeć prosto przed siebie, nie widzimy ani jednej rzeczy jasnej, wiadomej, samo przez się zrozumiałej. To co podczas próby „analitycznej”, co w finale I aktu bluźnierczego misterium obecnej wojny ściśle się przed nami, jest równie ciemne, jak to co stoi z tyłu, co podnosi topór nad naszym karkiem, co nam grozi nowym ciosem, padającym z ciemności. Po prawej stronie próżno szukaliśmy anioła w srebrnym pancerzu i ze srebrnymi skrzydłami u ramion. Po lewej natomiast, więc po tej stronie, skąd płyną myśli złe, stoi Duch Czarny. Rzuca nam pytanie: „A wiesz ty, co z Polską będzie jutro, za rok, za dwa, za dziesięć, za lat dwieście?”

Straszliwe słowa, od których mróz idzie po kościach. Kraży to pytanie jak upiór ponad nami, na skrzydłach nietoperza dociera do każdego baraku, namiotu, obozu. Duch Czarny siada przy łożku żołnierza, spędza sen z oczu, świdrem wkręca się głęboko w mózg, za serce chwyta obcęgami szponów, w żyły sączy truciznę zwątpienia, gorączkę, zimnym potem oblewa ciało. A wiesz ty, co z Polską będzie? Jakże czarnopióry szatan nie ma stać nad karkiem, i pytać a podpowiadać, skoro spotkało nas nieszczęście w istocie „totalne”, ogarniające bez różnicy naród cały, nieszczęście takie, że rozlega się jakby „Lament utrapionej Matki”, płaczącej słowami Starowolskiego: „...nikt się bez szkody i utrapienia nie najdzie, tak senator, jako i biskup, tak zakonnik, jako i kupiec, tak Żyd, jako i heretyk, tak arendarz, jako i pan dziedziczny, tak żebrak, jako i rolnik, tak rzemieślnik, jako i przekupień... Rozproszą się, jako mrówki, Lachowie moi...”

Pisał to książecz-prorok w okresie szwedzkiego potopu, w r. 1655. Pisał to Starowolski, który najeżdżąc, Karolowi Gustawowi, wskazał grób Łokietka, mówiąc: „Ten-ci jest król polski, którego losy przeciwne po trzykroć tron opuszczać zmuszały, wrócić nań jednak i królem naszym umarł”. Nie ma nic nowego pod słońcem historii naszej, chociaż zaś w czasie potopu zwalili się na Polskę i Szwedzi i Moskale i Rakocy, przecież następna, późniejsza o pół wieku, inwazja szwedzka i rosyjska przyniosła miała katastrofę, która zdystansowała nawet „potop”.

Gdy dzisiaj mówimy „Warszawa”, skłonni jesteśmy myśleć „Polska”, pisząc zatem o Warszawie z pierwszych lat XVIII w., myślę o Polsce. Karol XII, znalazłszy się w Warszawie, podążył razem z wojskiem swym prosto ku kolumnie Zygmunta, ukłękł przed nią i zaintonował psalm. Scena godna pędzla Matejki, mająca w sobie patos koturnowy a wstrząsający, lecz Warszawa po tym najeździe szwedzkim godna, była pędzla Goyi. Najeźdźcy dopomógł pożar jeden i drugi, przyszedł mu w sukurs powietrze morowe z r. 1710. Trawa zarosła ulice. Nie ma gdzie mieszkać, nie ma jednego dachu całego. Warszawa, to jedno wielkie pogorzelisko, jeden wielki cmentarz. Ludność ucieka, emigruje, woli chronić się w lasy, niż wegetować pośród grobów. Zginęło wtedy pono 30.000 mieszkańców.

Przyjrzyjmy się bliżej tej cyfrze, przyjrzyjmy się dziełu zniszczenia i szybkiemu dziełu odrodzenia, choć można by dla przykładu sięgnąć znacznie głębiej w historię, zapuścić się w wieki średnie, które, acz tak odległe, przecież dają odpowiedź na pytanie: „Co będzie z Polską za lat dwieście?” Czy nie stało to pytanie przed Kazimierzem Odnowicielem, gdy jeszcze jako mnich, w murach klasztornych, słuchał dochodzących z daleka wieści, że dzieło Chrobrego rozpada się? Czy za rządów Władysława Hermana nie groziło rozbićcie Polski, połknięcie jej na wieki wieków przez Niemców? Czy schroniwszy się w jaskinie Ojcowa, Łokietek nie zadawał sobie pytania: „Co będzie z Polską podzieloną na dwadzieścia trzy księstwa?”. Na pewno zadawał sobie je, a przecież dokonał tego, co w pięćset lat później Leleweł nazwał „ocaleniem Polski za Łokietka”.

Nie schodzimy jednak zbyt głęboko w mrok dziejów. Myślę o Warszawie z pierwszych lat XVIII stulecia, gdy spotkała ją klęska, co najmniej dorównująca dzisiejszej, o ile nawet nie większa. Statystyka rzuca snop światła na ową klęskę. Bezpośrednio po wybuchu zarazy z r. 1710 Warszawa przestała istnieć. Ze 150 szewców polskich zostało 8, ze 36 szewców — Niemców ocalało 3, z 21 mieczników umarło czy zostało zabitych lub też uciekło 20. Przemysł i handel pograżczyli się w nicość, niektóre cechy, niektóre rękodzieła w ogóle przekreśliła klęska, pożar i morowe powietrze. Przed epidemią było 4 kapełuszników, 4 tokarzy, 5 białoskórników, i nie został z nich ani jeden.

Po trwającym przez rok bezkrólewii, po rabunkach z czasów elekcji króla Michała, po zarazie z czasów Sobieskiego, po przemarszu wojsk Karola XII i Piotra Wielkiego, po kilku pożarach kolejnych, szczególnie po fali moru, Warszawa mogła liczyć co najwyżej czterdzieści kilka tysięcy mieszkańców, czyli

zginęło z górą 50%. Życie zamario. Krowy i kozy pasą się na opuszczonych, chwastami porośniętych zwaliskach. Bezpańskie psy błądzą po pustych ulicach.

Wszystkich nas zgola jedna bieda lechce,

A przecie umrzeć nikomu się nie chce...

Pisze zmarły na kilka lat przed wybuchem moru ale świadek upadku stolicy, Stanisław Herakliusz Lubomirski. Warszawa, symbol Polski, nie chce umrzeć. Ona pragnie żyć. Rzuć znowu garść sporą cyfr, które malują stan rzeczy w lat trzydzieści lub czterdzieści po katastrofie. Mógłbym wspomnieć szeroko o Collegium Nobilium albo o bibliotece Załuskich albo o trzech księgarniach i trzech drukarniach, wole jednak mówić o sprawach, dotyczących wyłącznie przemysłu, rękodzieła i handlu. Na ruinach, na pogorzeliskach rozbudowuje 127 szewców swe warsztaty. Krawców jest 116, 85 kupców, 2 piekarzy, 5 rzeźników, 10 cyrulików, 5 zajazdów, 4 traktiernie, 11 garkuchni. Zaczynają pracować pełną parą inne zawody i cechy.

26 października 1764 r. król Stanisław August patrzy z okien Zamku na paradę mieszczan. Z dziedzińca Saskiego wali przez Krakowskie Przedmieście na rynek Starego Miasta pochód czterotysięczny. Wysadziło się miasto, zapalając wszystkie świeczki. Cech rękawiczników idzie w strojach zielonych ze złotymi sznurami. Szmuklerze w niebieskich kontuszach, a słomianego koloru żupanach, i w barankowych, szarych czapkach, ze skórami lamparcimi na barkach. Ale pierwszy kroczą browarnicy w uniformach zielonych, rybacy w szaro-czerwonych, rzeźnicy w amarantowych, stojarze w niebiesko-karmazynowych, ślusarze i kowale w granatowych. Prowadzi pochód bankier Tepper. Cała ulica Świętojańska czerwonym suknem zastana. Gdy król przekroczył bramy Starego Miasta wręczono mu złote klucze...

A 9 maja 1791 r., w sześć dni po uchwa-

leniu konstytucji, w dzień po imieninach króla, mieszczanie bal wydadają dla szlachty. I to gdzie! W pałacu Radziwiłłów! Sam król przyjechał z siostrą, Panią Krakowską. Ach, jakież to był bal! I jakże w trzy lata po owym balu Warszawa weźmie się do roboty! Jak runie na pałac Igelströma! Jak zaczną wieszać zdrajców! Ulice będą czerwone, ale nie od sukna, tylko od krwi!

Miasto — symbol żywotności. Myślę o Warszawie, gdy z lewej strony pada pytanie, co będzie z Polską za rok, za dwa, za dziesięć, za dwieście lat. Z prawej strony czuje wyraźnie jakby pchnięcie, jakby ostróg, która bodzie mą pamięć. Co będzie? Będzie Polska. Musi być. Myślę o Warszawie z czasów, gdy ją chwyciła w obcęgach żelazne, gdy ją pasem stalowym ścisnęła rosyjska wola, zmierzająca do zagłady miasta. Myślę o latach między powstaniem listopadowym a wielką wojną. Myślę o walce Warszawy z głupotą, z barbarzyństwem, z zawiścią i z zazdrością okupantów. Jest to walka wygra-
na.

Naturalnie, czasów owych nie mierzyć z dzisiejszymi. Byłe pokątny enkawudzista ma o wiele bogatszy bilans, niż np. skrzywdzony przez historię wielkorządcą Litwy, Murawiew „Wieszatiel”. Ach, Murawiew to postać z bukolik, to wcielona sielanka. Nie z lewej ani z prawej strony plyną cyfry, lecz widzę je przed sobą jako rzeczy jasne, bezsporne, dające się stwierdzić. Rzeczy, których sam Murawiew nie tai, ale mówi o nich otwarcie, jakby mając świadomość, że kiedyś porównanie wypadnie na jego korzyść, że go wybieli w oczach potomności. Gdyby ktoś na tym samym szczeblu dzisiaj działający przedstawił tak mizerne konto, sam z pewnością postawiony zostałby pod ściankę. Murawiew (1796-1866), mając na wargach jakby uśmiech niewinny, uśmiech filantropa, mówi, że z jego rozkazu poniosło śmierć 128 Polaków, do katorgi zesłano — 972, do więzienia poszło — 864, do wojska wzięto w charakterze rekrutów — 345, na Sybir pojechało — 1427, w głąb Rosji w ogóle — 1529, przeniesionych czy przesiedlonych 4096. Czyli summa summarum 9361 ludzi, w czym, powtarzam, śmierć poniosło zaledwie 128 (słowami stu dwudziestu ośmiu). To istotnie wygląda na sielankę w porównaniu np. z bilansem lat 1939-1940-1941. I pomyśleć, że ten łagodny wielkorządcą przeszedł do historii z przydomkiem „wieszatiel”! O, jak niesprawiedliwa jest czasami Clio!

Wieszatiel działał w Wilnie, Warszawę chciał zgnieść osobiście Mikołaj I., chciał ją zburzyć, udusić. Gdy przez miasto przewalała się klęska rozbiorów, przemarsze wojsk napoleońskich, okupacja pruska, lawina rozbitej „wielkiej armii”, gdy pałace i kościoły zamieniły się na szpitale, gdy zniknęła na zawsze dwór królewski, gdy magnaci rozproszyli się po całym kraju i po całym świecie, wtedy została w Warszawie tylko bieda z nędzą. Ilość mieszkańców spada katastrofalnie, a przecież po chwilowej stagnacji budzi się życie, którego rozmachu nie nie potrafi powstrzymać. Miasto rośnie. Ono nie tylko rośnie, ale chce być piękne. Przecież to czasy, gdy powstaje teatr Wielki, gdy pl. Bankowy porasta w budynki pełne nowego stylu i nowego piękna. Warszawa rośnie, bierze rozmach, prostuje się i przeży.

Następuje nagłe zahamowanie. Warszawa, wychylona do skoku, staje, zawisa wpół ruchu, z okrzykiem zamartwiałym na ustach. Rosjanie, po klęsce rewolucji listopadowej, wtłaczają żywy organizm miasta w żelazną klatkę, zamykając ją na wszystkie spusty i rygle. Wiara i wolność od ludzi ucieka, a ziemię polską, jej stolicę, oblewa despotyzm i duma szalona. Tak, despotyzm, duma i głupi, mongolski szal niszczą. Ofiarą padają najpiękniejsze, nad Wisłą położone dzielnice, których miejsce zajmie olbrzymia, upiorna cytadela, zbudowana na przestrzeni 250 hektarów. Wtedy to z ust Mikołaja I. pada groźba zbombardowania całego miasta w razie najmniejszego oduruchu buntu.

Jeśli o dawnej stolicy Polski mówimy, że „nie od razu Kraków zbudowano”, tedy o Warszawie powiedzieć trzeba nawet dziś, nawet teraz, — choć to wyda się tragicznym paradoksem, — że nie od razu zburzyć ją można. Patrzymy na długi, powolny ale konsekwentny proces niszczenia Warszawy przez Rosjan
(Dokończenie na str. 6-iej)

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ DO POLAKÓW NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE W DNIU 11 LISTOPADA

„Witam inicjatywę pisma „W Drodze” wydania numeru w dzień Święta Niepodległości i korzystam z tej okazji, aby przesłać rodakom na Bliskim Wschodzie pozdrowienia i wyrazy otuchy.

Wierzę, że Naród Polski, który podczas przeszło wiekowej niewoli nie pogodził się nigdy z faktem rozbiorów, i teraz przetrwa tę najcięższą w swej historii próbę.

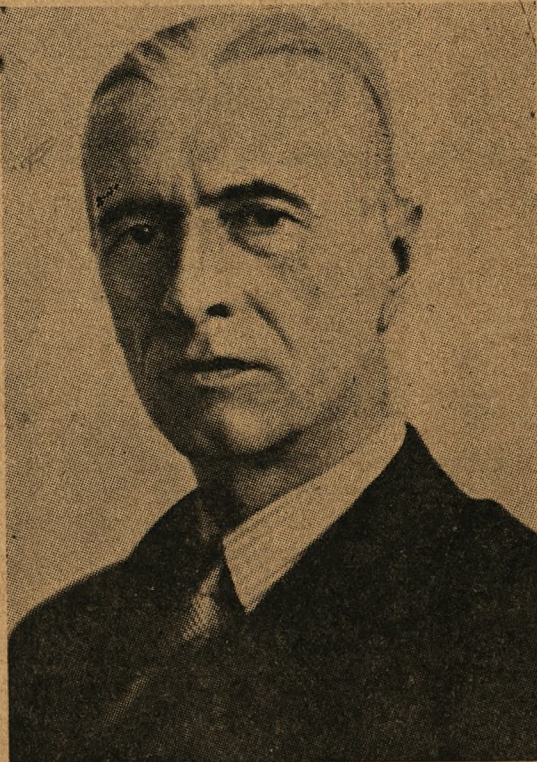
Trwając niezłomnie przy idei wolności, Polacy, zmuszeni mimo końca działań wojennych pozostawać poza granicami ukochanej Ojczyzny, dają wymowne świadectwo wobec cywilizowanego świata, że żadne załatwienie sprawy polskiej poza zupełną niepodległością nie zadowolni Narodu Polskiego.

Trzymając wysoko sztandar Demokratycznej i Wolnej Polski i krzewiąc ideę naszych słusznych praw, My, Polacy na obczyźnie, jesteśmy głęboko przekonani, że pracujemy na pożytek Rzeczypospolitej.”

Podpisano:

WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ,

Prezydent Rzeczypospolitej



TYMON TERLECKI

EMIGRACJI POLSKIEJ 1945 R.

JUŻ chyba niewielu z nas uchyla się świadomości, że jesteśmy widzami i aktorami strasznego dramatu. Siega on do dna jaźni, ogarnia najszerszy krąg liczbowy. Być Polakiem w tych dniach, znaczy być w środku gigantycznego kataklizmu, w samym sercu chłonnących wirów.

Na naród polski padł wyrok śmierci cywilizacyjnej. Tak należy czytać zawili szyfr faktów i jeszcze bardziej zawili język komentarzy, uzasadnień i usprawiedliwień. Trudne do wymówienia, drażniące, niepojęte nazwy miast, które jak upiory nawracają na stronice dzienników: Wilno, Lwów, Kowno, Ryga, Tallin — nie oznaczają prostego przeniesienia tytułu własności, utraty ziemi przez jednego na rzecz innych, utraty kraju lat dziecinnych, powtarzanej śmierci tych, którzy znaleźli tam groby. Imiona dalekich miast nazywają sprawę o wiele groźniejszą: ubożenie całej kultury europejskiej, świadome oddawanie stanowisk. Tylko pierwsi naiwni tego Guignolu, tylko oportuniści za każdą cenę, tylko krótkowidze, którym koniec nosa graniczy świat — mogą to uważać za incydent lokalny, za zwykły ruch, za oddech fali przypływu i odpływu, grający na pograniczu kultur. Nie jest to fragment wiekustego procesu, wycinek rytmicznego ciągu, jedna jego kadencja — jest to sama twarz cyklonu. Polskę wypchnięto ze wspólnoty europejskiej. Polskę zdradzili nie sprzymierzeńcy, „sprzymierzeńcy sprzymierzeńców”, ale zdradziła kultura zachodnia.

Dla emigracji polskiej jest to nie czas małych wyrachowań, ale wielkich uświadomień, wielkich decyzji. Uczestniczymy w ich dojrzewaniu. Z dnia na dzień widzimy poszerzanie się wyrw, pogłębianie rozpadlin, dzielących spoiste dotąd kompleksy życia: partie, związki społeczne, małżeństwa, przyjaźnie. Jest to proces nieuchronny. Jest to jednocześnie wyznacznik ogromności wstrząsu.

Te słowa zwracają się do emigracji 1945 roku. Kształtuje na emigrację nową: stawia jej nowe cele, zamyka upragnione widnokręgi, w bezlitosny sposób burzy złudzenia, przywala lawiną rozczarowania.

Nim podniesiemy się do nowego pragnienia, mówimy o strasliwym rozczarowaniu tego momentu. Ma ono dwie twarze. Jedną z nich mówi: nie idziesz do pokoju, dopiero za progiem tej wojny zacznie się wojna — dłuższa, groźniejsza jeszcze, może już ostateczna, wojna o naszą kulturę. Drugą z tych twarzy mówi: nie idziesz ku lepszemu światu, za progiem okrutnego, bezsensownego porządku, w którym żyłeś — jeszcze nie ma lepszego świata.

Jest to rozczarowanie tragiczne nie przez to, że unięsieć je, że sprostać mu muszą żywi, ale że po stokroć, po tysiącokroć pomaza ono ciężar ziemi, brzemie oceanicznej wody na piersiach umarłych. My tylko żyć musimy w jadowitym świetle prawdy, oni — umarli — dokonali najtrudniejszego wyboru między daremną śmiercią i daremnym życiem.

Zresztą perspektywa życia nigdy nie jest zamknięta. Prawa funkcjonowania wyobraźni nie pozwalają jej zastraszać, nie domyka jej tajemna nadzieja, niewydarta miłość istnienia. Nigdy nie można wątpić ostatecznie. Zawsze jest miejsce na heroizm.

Heroizm emigracji polskiej 1945 roku jest prosty: wytrwać w kulturze europejskiej na przekór jej samej. Wytrwać — za siebie i za naród, któremu z dnia na dzień cofnięto dobrze, kosztownie nabyte, niewątpliwie prawo przynależności do wspólnoty. Wytrwać — bo kultur nie zmienia się jak partii politycznych, jak żurnalowych fasonów, jak bielizny. Przynależność do kultury jest czymś prawie przymiatym, to znaczy: czymś co ma charakter pomazania lub piętna. Europejczyk pozostaje Europejczykiem pośrodku tropikalnej dżungli i pod kręgiem arktycznym. Zagrożony lub zwyciężający, przystosowany lub ginący od zielonego uścisku puszcz, od białego uścisku zimna — pozostaje sobą. Będzie walczył lub uległ inaczej, bardziej celowo lub bardziej nieudolnie, będzie żył lub umierał inaczej: wznioślej lub trywialniej, niż tuziemiec, bo pod białe niebo, na dno zielonego morza przyniósł swój świat, swoje własne wyobrażenie o życiu. Kultura, to są granice zasięgu, to jest materialny stan posiadania, materialne znaki: drogowskazy, pomniki, napisy grobowe, ale to jest przede wszystkim — świat wewnętrzny wizja, ideał, zespół miar, metoda pojmowania życia jako całości.

Usiłowany mord cywilizacyjny na Polsce stanowi takie samo pogwałcenie normy moralnej, jak dzieciobójstwo. Kultura europejska ciężko zapłaci za to co się stało i co się dzieje. Stanie ona, lub już stanęła, przed wyborem między śmiercią i postawą heroiczną. Polacy o pełnej świadomości europejskiej, ci, co mają swobodę głosu, muszą stać przy niej i zostać — do końca. Nawet: zginać. Nie jest to straconość Okopów św. Trójcy. Jest to przymus wierności. Nie możemy być gdzie indziej, niż w Europie, jak nie możemy być czymś innym, niż Polakami. Jeśliby kultura europejska miała nie wytrzymać nadchodzącej próby, paść w tym kataklizmie — musimy być przy niej, aby jej dać rozgrzeszenie za najcięższą winę, jaką na siebie wzięła.

Powiedział kiedyś Paul Valéry — myśląc o kulturze zachodniej — że kultury są śmiertelne. Jest to prawda historycznego doświad-

czenia; umarli kultury starożytnych Egipcjan, Chaldejczyków, Asyryjczyków i tyle innych, z pamięcią kultury europejskiej musiałyby umrzeć raz jeszcze. Ale to także prawda, że czas śmierci kultur nie jest wiadomy. Los ich zależy od woli przetrwania w stopniu jeszcze wyższym, niż los człowieka. Bo kultura jest konstrukcją ludzką, nie strukturą przyrodniczą, organiczną, jak sam człowiek. Nie ma automatyzmu śmierci w świecie kultury. Nie ma go w najbardziej ludzkiej z kultur stworzonych przez człowieka — w kulturze europejskiej.

Układ rzeczy, groźny jak chwila przed trzęsieniem ziemi — dla emigracji polskiej 1945 roku stanowi szczególne wezwanie. Być może, nie pora jej formułować w szczegółach, w program polityczny, ale jasno, koniecznie, nieodparcie rysuje się już dziś nadrzędna postawa kulturalna. Nigdy bodaj polskość nie była w równym stopniu, w wyższym stopniu utożsamiona z europejskością. Nigdy bodaj to, co polskie, nie było w tej mierze europejskie, to, co europejskie — polskie.

Bardziej niż kiedykolwiek my, ludzie bez ojcowizny, wydziedziczeni nawet z grobów matek naszych, my, ludzie bez ojczyzny, musimy się poczuć w Europie jak w powiększonej ojczyźnie, jak w prawowitym dziedzictwie. Pociąga to za sobą nakaz takiego uorganizowania, które stanowi przeciwieństwo ghettów, zapewnia maksymalną spójność przy maksymalnej ekstensywności. Spoistość przesądzi o naszej roli wobec Polski, ekstensywność — chłonność i zdolność promieniowania — o naszej roli wobec Europy. Musimy odrabiać pracę europejskiej świadomości za całą w Polsce warstwę myślenia, której po raz drugi czasu tej wojny odebrano wolność myśli, słowa i działania. Musimy nateżać polskość, polskość wiązać z europejskością.

Dla innych, dla wielu jeszcze europejskość jest stanem naturalnym, bezwiednym, niedostrzegalnym, jak oddech. Dla nas musi być postawą heroiczną i religijną. Już niedługo ta postawa stać się może wzorcem, obowiązującym wszystkich Europejczyków.

Wychodzą naprzeciw siebie dwa wyobrażenia o życiu, dwie koncepcje istnienia. Jedną z nich rośnie z najgłębszej pogardy dla człowieka, z tego strasliwego prakompleksu, który zapada w duszę pierwotną, gdy po raz pierwszy twarzą w twarz staje ona wobec ogromu przyrody, jej ślepej mocy, jej niepojętności. Druga od tysiącleci leczy małpóludza z tego kompleksu — nauką Platona o naziemskim świecie idei, o duszy, która poprzez świat materialnej złudy wznosi się do ich poznania, chrześcijańską nauką o „synostwie bożym” i okkupieniu, wiarą rewolucji francuskiej streszczoną w hasło, niesionym kiedyś także przez legionistów Dąbrowskiego „Gli uomini liberi sono fratelli (ludzie wolni są braćmi)”. Pierwsza z tych koncepcji jest brutalnie optymistyczna, agresywna, jak wszystkie postawy sublimujące, uwznioślające, jak każde dążenie do ideału. Dla pierwszej człowiek jest tylko gliną, miazgą, gnojem, żywiącym chorobliwe urojenie. Dla drugiej stanowi cel — jedyny i jedynie cenny; u jej podstawy leży i prze-

nika ją na wskroś idea świętości człowieka, wiara, że człowiek, i tylko człowiek, stanowi najwyższą wartość, sens i miarę wszechrzeczy.

Jakkolwiek jasne, nieprzebrane jest to przeciwieństwo, nie podobna ulegać złudzeniu, iż obraz jutrzejszego świata będzie równie łatwo czytelny. Stanowi to jedną z dramatycznych cech tej nowoczesnej zmotoryzowanej, zradiofonizowanej apokalipsy, iż będzie ona przebiegała w niepojętym chaosie pojęć, orientacji i dążeń. Widnokrag przed nami będzie się mącił nieustannie. Będzie się zasnawał trzygroszową alegorią wiecznego sojuszu ognia z wodą, zamykał — jak „actdrop” w balecie — uciętą perspektywą sielanki. Będzie się burzył teatralnymi nawianiami, pokrywającymi istotne napięcia, ludzi rozdzuszonymi pauzami pozornych uciszeń.

Już dziś nie brakuje znaków niepokojących. Trudno nie myśleć bez gorczy, że żaden pisarz angielski nie podniósł głosu w obliczu tragedii Warszawy, w obliczu tragedii Polski. A przecież odwaga, przenikliwość, bezstronność, której świadectwo dał E. M. Forster w swojej wspaniałej książce „A Passage to India”, uczy nas szacunku dla literatury angielskiej, bo stanowi jej chlubę i chlubę całej literatury europejskiej. Trudno się obronić zdumieniu, gdy François Mauriac, znakomity pisarz katolicki, z dobrej woli fetuje w „Figaro” sojusz francusko-rosyjski, gdy katolicy francuscy zawierają przymierze z komunistami dla obrony zdobytych za Pétainą stanowisk politycznych. Oczekiwaliśmy raczej, że z tych szeregów zwartych w podziemiach wyjdą Lacordaire, Lamennais, Montalambert i przemówią głosem pamiętnym sprzed stu lat.

Można sobie przedstawić nadchodzący czas jako apokalipsę „au ralenti”, albo apokalipsę walki mikrobów. Nim dojdzie do starcia, nim przyjdzie uderzenie na koronę, cios w sam pień europejskiego drzewa — odbędzie się atak, powolny, sekretny, systematyczny na jego korzenie.

W okresie narkotycznych upojeń, beztroskliwości, „wishful thinking”, ratowania co się i z kim się da — będziemy mieli swoją rolę, my obudzeni pierwsi, pierwsi skazani na bezsenność, tragicznie trzeźwi, nadzy, odarci ze wszystkiego.

W potworności zwiastującego się zamętu trzeba będzie szukać jasných rozeznań. Trzeba będzie podjąć wielką pracę myślową: rozpoznać i określić raz jeszcze podstawy kultury europejskiej, dotrzeć do jej najgłębszych źródeł, odrzucić wszystko co do niej nie należy. Trzeba będzie demaskować kłamstwa i pozory, uzurpatorstwo i nadużycie. Bo kultura Zachodu jest zagrożona przez swoją schizmę, przez wypotwornienie, zwyrodnienie jednego ze swych składników: socjalizm, przez jego degenerację w komunizm! Na tym polega dramatyczność i komplikacja, że przeciw kulturze staje antykultura, herezja przywłaszczająca sobie prawdy i znaki macierzystej kultury, kradnąca jej dynamikę, w pełni świadoma jej siły i słabości.

Nadchodzi może pora na syntezę europejską, na mobilizację duchowych zasobów. Wyniki takiego działania mogą być niespodziane. Wiele kłótni w rodzinie, starych roz-

dźwięków, skostniałych przesądów może rozkruszyć się i rozwiać.

Możliwość usunięcia podziału w ocenie rewolucji francuskiej jest tu bodaj najbardziej uderzająca. Podniosłem w jednym z poprzednich artykułów ważność uściślenia tego pojęcia w przedśmiertnej książce Ferrero „Pouvoir”. Przeciwwstawiał on rewolucję 1789 — rewolucję 1799 r., rewolucję „praw człowieka” rewolucji zaczętej zbурzeniem Bastylii i ukoronowanej „ustawą konstytucyjną”, rewolucję „Wielką”, liberalną ze swej istoty — rewolucji małej, która stała się wzorem ustroju totalitarnego. To ferrerowskie rozróżnienie nie jest pomnożeniem bytów pojęciowych, jest tylko resekacją organicznej tkanki historii, w olbrzymim stopniu wzbogacającą naszą wiedzę o dziedzictwie europejskim, poszerzającą naszą świadomość historyczną. Warto z tym zestawieć oświecenia A. N. Whiteheada, myśliciela, należącego do dwu stuleci (ur. 1861), matematyka z zawodu, który w takich książkach, jak „Science and the Modern World” (1926), „Religion in the Making” (1927), „Process and Reality” (1929), zebrał mądrość długiego, pięknego, twórczego życia. Niezależnie od Ferrera, inna, czysto analityczna metoda Whitehead wywiodł racjonalizm rewolucji francuskiej ze świata greckiego, jej egalitaryzm, kult równości związał z prawem rzymskim i w wyższym jeszcze stopniu — z ideologią chrześcijańską. Jeśli się połączy te dwa ujęcia, otrzymuje się nowe wezwanie na rewolucję francuską. Znosi ono linię podziału, godzi przeciwstawne i sprzeczne oceny tego zjawiska.

Podobnie dało by się usunąć przeciwieństwo (jeśli można mówić o przeciwieństwie) między chrześcijaństwem i socjalizmem. Socjalizm mógł się urodzić tylko w kulturze chrześcijańskiej. Jest możliwy do urzeczywistnienia tylko w obrębie tej kultury. Społeczeństwo bezklasowe, społecznie zrównane, było mitem prowadzącym chrześcijaństwa na długo przedtem, nim stało się ideą przewodnią socjalizmu.

Akt woli syntetyzującej może objąć nie tylko formacje ideowe, nie tylko epoki dziejów, ale także kompleksy geograficzne. W świetle takiego działania mogło by się ujawnić, że Ameryka leży w Europie, i że pewne części Europy, które według nomenklatury geograficznej zalicza się do kontynentu europejskiego, nie mieszczą się w jego granicach, w jego przeznaczeniu dziejowym, w jego zbiorowej pamięci, w prawowitym dziedzictwie jego idei.

Na tej drodze może się objawić jednolitość i jednorodność kultury europejskiej, może się okazać, że dzielące ją przeciwieństwa — rewolucjonizm i zachowawczość, „lewicowość” i „prawicowość” — są napięciami żywotnymi, ruchami w obrębie jednej tradycji. W ten sposób może zasklepić się pęknięcie, które dręczyło Charles’a Péguy — przedział między światem nowoczesnym, „le monde en decréation”, jak mówił, a całością kultury europejskiej.

Podziały, napięcia przeciwne są warunkiem życia, znakiem, wyrazem życia. Jedność jest nakazem i możliwością przetrwania. Nie może być wątpliwości co do tego, że nasza kultura uratuje się jako całość albo zginie jako całość. Jest ona tak samo niepodzielna, jak dusza, jak świadomość.

W tym wielkim przedsięwzięciu jednoczącym nie powinno braknąć emigracji polskiej. Jest ona do niego bodaj szczególnie przysposobiona — przez stan rozproszenia, przez fakt podwójnej lojalności wobec krajów rodzinnych i przybranych ojczyzn. W tym wejrzeniu pojęcie emigracji polskiej 1945 roku obejmuje i wychodziłstwo polskie w Stanach Zjednoczonych i wychodziłstwo w krajach Europy zachodniej. Wszystkie te zbiorowiska przez żywą, czynną pamięć przynależności do świata europejskiego i amerykańskiego, do świata polskiego i francuskiego — mogą wytworzyć ideał, wzorzec żołnierza w nadchodzącej, może już zaczętej, bitwie o kulturę europejską.

Przed wszystkimi innymi ta patetyczna godzina zwraca się z wezwaniem do pracowników kultury. Do nich należy wypracowanie i głoszenie polskiej nauki o zbawieniu tego świata od zagłady. Już samo założenie, sam punkt wyjścia tej nauki: to, że zdradzenie przez kulturę europejską, nie opuszczamy jej i nie chcemy opuścić, może mieć sens aktu odkupicielskiego.

Sto lat temu Thomas Carlyle w najbardziej dorobkiewiczowskiej epoce przeciw wierze w postęp mechaniczny przewidywał: „the Hero as a Man of Letters... may be expected to continue as one of the main forms of heroism for all future ages”. Nie bardzo można mieć wątpliwość, że właśnie ta postać heroizmu — heroizmu bez pióropusza, fanfar i orderów — będzie obowiązywała na dzień jutrzejszy. Spokój nie jest sądzony naszemu pokoleniu. Jesteśmy, byliśmy dotąd pokoleniem oszukiwanym przez perspektywę: tyle razy myśleliśmy, że to już kres, że to już dno, ale granice bolesnego doświadczania uchodziły przed nami i każde dno otwierało dalsze, głębsze piętra piekła. Dziś ta sztycherka magia perspektyw utraciła nad nami siłę. Wstaje w nas, musi wstać nieskończona gotowość rozczarowania, niewyczerpana cierpliwość pragnienia, trwania, przetrwania.

Bo idą czasy Jana z Patmos.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

MATKA POLEGŁYCH

*Kto was policzy, zaginieni,
I bezimiennych kto spamięta?
— Krzywdą, co w okno na jesieni
Liściami tłucze, zmowa święta.*

*Ostatni powój na poddaszu
I pod ścianami głóg czerwony
Do szyby wargą przylgnie naszą:
Tam jeszcze krwawi ktoś raniomy.*

*Ugorna ziemia, sucha połąć,
Co piła krew żołnierskiej rany,
Będzie pociemku do was wołać:
Tam zbudzi się ktoś pogrzebany.*

*O jakiejś porze, w jakimś domu,
Skąd dzieci się na świat rozbiegły,*

*W drzwi zastukamy pokrywom:
Otwórzcie, wraca wasz poległy.*

*Nikt się nas wtedy nie przestraszy
A nieugięta do ostatka
Kulę z przebitej czaszki naszej
Zgrubiłą ręką wyjmie matka.*

*Przyniesie leki i bandażę,
Pochowa szczątki naszej broni
I czarną kulę nam pokaże
Na wyciągniętej prosto dłoni.*

*I ran doszuka się w drelichu,
Policzy wszystkie i spamięta:
Krzywda, co szerzy się pocichu,
Matka pamięci, zmowa święta.*

CZATOWNIA

*Tam, gdzie Dante powiedział, że nie ma nadziei,
U tych bram, których stopa nie przeszła niczyja,
Jakiś wojsko stanęło i wartę z kolei
Stawia nową i obóz polowy rozbija.*

*Tam, gdzie kończy się pomoc i wszelki ratunek
I gdzie tylko się milczy jak milczą bezstoloni,
Żołnierz jakiś postąpił na swój posterunek,
W gwiazdy patrzy i ciemność przetrząsa z czatowni.*

*Tam, gdzie niktby nie wytrwał, gdzie kruszy się męstwo,
Czyżby wiara znów weszła — natrętna i młoda?
Ach, jeśli to jest polskie odwieczne szaleństwo,
W nawiedzeniu tym polska jest także metoda.*

STANISŁAW BALIŃSKI

Krok w nieskończoność

MŁODZIENCZE, niezapomniane wiersze Marii Pawlikowskiej uważane były przed wojną za wiersze, sławiące wdzięki życia, miłość, a zwłaszcza egzotyczne czary przyrody. Dziś, gdy wracamy do nich po latach straszliwej wojny, odnajdujemy tam nadal bujną żywotność, miłość do piękna, ale jednocześnie spoza girlandy czarownych słów i metafor wydobywa się na plan pierwszy inny motyw, jakby ukryty dotąd naszym oczom, motyw śmierci i zagłady. Wiersze są nadal powiewne i barwne, ale czytamy je już inaczej. Rzekibyś, za dekoracją wszystkich egzotycznych uroków tkwiła w nich, głęboko ukryta, tragiczna świadomość przemijania i ona była właśnie głównym motywem jej twórczości.

Człowiek w młodzieńczych wierszach Pawlikowskiej wydaje nam się dzisiaj jednym ze składników natury, tak jak roślina, jak ptak, jak zwierzęta i różne twory wodne, i podpada pod te same tajemnicze i nieubłagane prawa przyrody. Mimo całej swej duchowości i zewnętrznej cywilizacji, kryje na dnie swej duszy, nie tylko instynkt szczęścia, życia i miłości, ale także instynkt zniszczenia i zagłady. Po-czuć okrucieństwa ludzkiego i lęk przed nim tkwiły w Pawlikowskiej od samego początku jej twórczości. Wojna ze swą apoteozą zadawania cierpień była dla Pawlikowskiej tylko potwierdzeniem jej złowróżnych przeczuć, które brały źródło — jak to sama w jednym ze swych wierszów wyznaje — w „zagładaniu w tajemnicę świata od spodu — pod podszewkę kwiatów, liści, zapachów”.

Młodzieńcze wiersze Pawlikowskiej, zawarte w tomikach, jakże lekko i salonowo zatytułowanych, „Różowa magia”, „Niebieskie migdały”, „Karnet balowy”, „Wachlarz”, „Balet powojów”, mają jakąś drapieżną i aktualną świeżość, jakąś nieprzemijającą, „przyrodniczą” prawdziwość. Podobne są do bujnych, aż groźnych w swej urodzie roślin, które oglądamy dwójako: w całej krasie ich piękna, barw i zapachów, a jednocześnie w całej rozpacz ich przemijania, w całym smutku ich zagłady. Jesteśmy olśnieni wywoływaniem przez poetkę czarów życia i przerażeni, gdy je w naszych oczach zdmuchuje. Poddajemy się urokowi jej wizji, a jednocześnie — grozie jej przeczuć, zwłaszcza dzisiaj, gdy widzimy, jak te młodzieńcze przeczuć wylały się z ram wierszy i stały się rzeczywistością.

Otwórzmy na chybił trafił tom Pawlikowskiej „Wachlarz” z roku 1927. Jakże wstrząsający jest wiersz „Dwa słońca”, będący apoteozą miłości, a zarazem wizją katastrofy świata:

*Dwa wielkie, złote słońca zaświtały spodem,
złocią strachu przestroję załaly,
goniły się po niebie w wyścigu wesołym,
gdy na ziemi ponure procesje śpiewały.*

*Bydło, groząc rogami niewiadomo komu,
ucięło na wszystkie strony —
a umarł spod ziemi wyszły pokryjomu,
wieszcz jak ślepe krety wśród trawy
zielonej...*

*Lecz w wyludnionych, miejskich,
pachnących ogrodach
dwoje jakichś szaleńców siadło obok siebie,
i szeptało: jaka cudna pogoda:
Dwoje nas jest na ziemi, dwoje słońc
na niebie.*

Albo wiersz „Heliotrop” — wiersz o jakimś pyłe niewidzialnym, lub o spojrzeniu w pył zmateralizowanym, o atomie, o tworze poetyckim, o tym, co, jak mówi Pawlikowska „...nie da się powiedzieć, co nigdy powiedziane nie będzie”, ale co zdążyło, zaistniawszy na chwilę...

*...zabić niechający powietrznego przechodnia,
motyla
który zdrzał, i skrzydła chciał złożyć do
modlitwy nad siły, i zgasać.*

W przepięknym cyklu „Pocałunki”, pośród tragicznych i smutnych czterowersów, jest jeden, zatytułowany „Krowy”. Przed dwudziestu laty wydawał się pretensjonalny i poetycko nieuzasadniony, ale dzisiaj czyta się go już inaczej:

Nowość!

MANFRED KRIDL LITERATURA POLSKA

Dzieje literatury polskiej
od początków piśmiennictwa
aż do współczesnej doby
emigracyjnej.

ROY PUBLISHERS

*„Usmiechnięci, obojętni i zdrowi
krzyczą spokojnie w pobliżu,
jak trawę żujące krowy
wokół kogoś co umiera na krzyżu...”*

Na jaki by wiersz Pawlikowskiej nie spojrzeć, odcieramy się zawsze o przyczajony drapieżnie cień zagłady i cierpienia. Czy to będzie romantyczna ballada o Laurze i Filonie, którzy przyszli się „w proch rozsypać pod umówionym jaworem”, czy o tancerce, jeszcze młodej i beztrudnej, a już „przekreślonej skrycie przez dwie zmarszczki”, czy o telegramie, który biegnie „szybko ze sztyltem na drucie”, czy „Melodia amerykańska”, która rozpoczyna się kolorową, filmową egzotyką, żeby zamknąć się nieoczekiwanym akcentem pokuty, czy wstrząsający wiersz o koniach, protestujących przeciwko bezsensowi wojny, czy wiersze o śmiechu... Ach, śmy, lecąc w ogień, myśląc, że lecą do nieba — to motyw, który powraca uparcie, jak fala, w poezjach Pawlikowskiej. Nawet ptaki Pawlikowskiej witają poranek wiosenny „wielkim głosem, z radością okropną, że słońce znówu wschodzi, że ich nikt nie pożarł”, tak są pewne zawczasu swego niechybnego, tragicznego końca.

WINCENTY WITOS

MOWA SEJMOWA

Już podczas łamania numeru otrzymaliśmy żalobną wiadomość o zgonie Wincentego Witosa, prezesa Stronnictwa Ludowego, premiera rządu Jedności Narodowej w r. 1920, człowieka, który wówczas wraz z Marszałkiem Józefem Piłsudskim stanął na czele narodu w walce o niepodległość państwa, i który w 25 lat później umiał, mimo wiadomej presji, odmówić swego udziału w tworzeniu w Moskwie.

Ze śmiercią Wincentego Witosa schodzi do grobu ostatni z pokolenia wielkich przywódców polskich z doby walk o niepodległość i okresu niepodległości. Zanim poświęcimy Mu obszerniejsze wspomnienie, zamieszczamy poniżej fragmenty z Jego przemówienia, wygłoszonego, jako przez Prezesa Rady Ministrów, w dn. 24 września 1922 roku na uroczystym posiedzeniu Sejmu Rzeczypospolitej, odbytym z powodu zwycięstwa oręża polskiego.

NAD państwem zawisło straszne pytanie: „Być, czy nie być”? Nad Europą zawisło widmo nowej wojny światowej, co niestety nie wszędzie rozumiano, mimo że wdzierający się w polskie ziemie wróg, idący w myśl hasła zaborczych, zaślepiony powodzeniem, otwarcie głosił, że zdeptanie niepodległości Polski rozpali żagiew nowej wojny nad Renem.

Z istotnej grozy położenia zdawała sobie sprawę tylko Francja. W innych państwach Zachodu agitacja, prowadzona przez czynniki albo nie znające sprawy, albo narodowi naszemu wrogie, zdolała wzmóc w społeczeństwie, że Polacy są imperialistami, awanturnikami, zakłócającymi spokój Europy. Walczący w imię zaborów i ujarzmienia wolnego narodu, imperialiści w najczystszy styl dawnych carów umieli dzięki agitacji i przekupstwu zrobić z siebie w opinii Zachodu reprezentantów wielkiej idei, a naszą walkę o byt, o istnienie, przez nich od samego początku zagrożoną, przedstawili jako imperializm i awanturничество. Nawet sfery demokratyczne i robotnicze na Zachodzie dały się wciągnąć na lep bolszewickiej agitacji i wystąpiły przeciw nam, utrudniając przysyłanie amunicji i broni dla Polski, która w tej chwili o wolność i spokój Europy ciężką prowadziła walkę. Nie umiano, czy nie chciano w państwach Zachodu zrozumieć, że linia pochodu wojsk bolszewickich przez Polskę wskazywała aż nadto wyraźnie, iż bolszewikom chodziło o połączenie z Niemcami, gdzie nie brakło potężnych czynników, gotujących wspólny cios przeciw Polsce...

...Zagranica zwątpiła już w Polskę. Trudno bowiem było by wytłumaczyć sobie inaczej fakt, iż doradzano i zalecano nam poniekać zdanie się na łaskę i niełaskę wroga, warunki uchybiające wprost godności żyjącego i niepodległego narodu.

W tych warunkach, gdy w kraju coraz głębiej rozlewały się armie sowieckie, a w państwach Zachodu rozwijała się coraz szerzej wroga Polsce agitacja, starająca się zwrócić całe narody przeciw nam, rząd, powstały z woli wszystkich stronnictw, mając za sobą zjednoczony w chwili niebezpieczeństwa i opuszczenia cały naród, jął się pracy, aby ratować niepodległość.

Wiszczą nad państwem katastrofa, grożąca utratą niepodległości, wzbudziła w narodzie „cud jedności”. Inteligencja polska spełniła swój patriotyczny obowiązek. Apel rządu, wystosowany do ludu polskiego, odbił się potężnym echem w masach włościańskich i robotniczych, które czynem udowodniły, że nie tylko praw umięć żądać, ale i bronić państwa, gdy tego zajądnie potrzeba. Stolica państwa, pełna zapału, zachowała wobec wroga w decydującym momencie godność i spo-

(O wierszach Marii Pawlikowskiej)

W roku 1926 czy 1927 ukazał się wiersz Pawlikowskiej „Skazańcy”, który stanowi jak gdyby kwintesencję poetyckiego na świat spojrzenia Pawlikowskiej i który jest najbar-dziej, jeśli tak można powiedzieć, ideologicznym wierszem poetki z okresu jej młodości:

*Spojrzenia, półśmiechy, czary kilku minut,
ruchy, błyski, wiosenną rozmarzoną*

*rumieniec amarantu, bładość seledymu,
wyraz który się nigdy w świecie nie*

*powtórzy,
radość nie winna temu co jest i co będzie,
zadumanie dźwięczące się światu śmieszemu,
modlitwy jak kwiat ślepe i gesty łabędzie,
i serce niepodobne żadnemu innemu,*

*włosy płowe, złociste, od jedwabiu miększe,
i myśli pracujące własną, szczerą pracą,
usta mniejsze od oczu, oczy od ust większe,
wszystko skazane na śmierć: niewiadomo*

W tym zbuntowanym wierszu jest cała Pawlikowska. Gromadzi najpierw wszystkie magiczne obrazy świata, wypowiadane nieraz

kój, od których w znacznej mierze zależał szczęśliwy wynik wielkiej bitwy.

Rząd wytrwał na posterunku. Nie uległ podszeptom i namowom swoich i obcych... i w najkrytyczniejszym nawet momencie... wierzył niezłomnie, że naród, gdy swoje siły rzuci na szalę zwycięży. I nie zawiodł się... Wobec zdradźców i złych obywateli wystąpił z karzącą ręką...

...Zwycięstwo nasze jednak nie tylko u-wolniło Polskę od zaborczego wroga, ale w znacznej mierze oczyściło atmosferę polityczną całej Europy. Nastroj społeczeństw i rządów w państwach zachodnich wobec Polski zaczyna się zmieniać. Zrozumiano istotę niebezpieczeństwa, jakie zalew Polski niósł całemu światu... Stolica Apostolska nie szczędziła nam moralnej otuchy... Dążąca stale do pokoju potężna Anglia przekonała się, że walcząc z bolszewikami, broniliśmy własnej niepodległości, a broniąc jej, ratowaliśmy pokój całej Europy...

...Rząd i naród polski pragnie szczerze i uczciwie pokój, porozumienia, opartego na zasadzie sprawiedliwości. Stanowisko nasze co do podstaw było i jest jasne, kilkakrotnie już przez rząd określone. Od Moskwy, nie od nas zależy, czy w najbliższym czasie będziemy mieć pokój, czy nie.

...Zaznaczyć mogę z dumą, że podczas najazdu bolszewickiego naród wykręsał ze siebie siły, które wszystkim nakazały dla niego szacunek. Wielkie tradycje przeszłości ożyły w całej pełni. Okazało się, że dla wolności naród wszystko uczyni, że w chwili niebezpieczeństwa duch narodu nie tylko się nie wypaczył, ale stęzał i nabrał hartu.

Ludność wiejska, aczkolwiek wielkimi nęcona obietnicami, zachowała się wobec najeźdźców z godnością, świadcząc dobitnie o wysokim poczuciu obywatelskim i umiłowaniu wolności. Lud wiejski odrzucił ze wstrętem pokusy bolszewickich agitatorów, grających na najniższych instynktach mas. Ten lud, który do niedawna musiał zaborcę uznawać za pana i władcę, potraktował najeźdźców jako wrogów, nie poszedł na lep agitacji, naraził się na ciężkie prześladowania, ale zniósł wszystko i niejednokrotnie z bronią w ręku wystąpił przeciw bolszewikom, zdając sobie sprawę, że walczą w obronie wolności, w obronie państwa, którego jest gospodarzem. Nieliczne wyjątki, przez to samo, że są wyjątkami, stwierdzają w pełni, co powiedziałem.

Warstwy robotnicze zachowaniem swoim udowodniły raz jeszcze, jak umięć cenić wolność, jak myślać i czuć po polsku. Z całym uznaniem stwierdzić należy, że przez cały czas krytyczny gądzności wśród robotników nie przejawiały się dążności antypaństwowe, choć bolszewicy na wywołanie ich nie szczędzili zabiegów i groźby, że... nie było w całym państwie ani jednego strajku.

Stoją przed nami olbrzymie, wymagające niezwykłego nakładu sił i pracy, zadania epokowej doniosłości, bo od ich wypełnienia zależy będzie w znacznej mierze cała dalsza linia rozwoju państwa i narodu.

...Wielkie jest zadanie, jakie nam przypadło w udziale, przerasta ono często siły, jakimi rozporządzamy, tym bardziej że siły te osłabiają zacięte walki partyjne, które u nas rozgorzały, a swoją formą niejednokrotnie ani powadze chwili ani doniosłości zadań nie odpowiadają. Co naród może zrobić, jakich czynów dokonać, gdy się zespoli w jednym dążeniu, tego dowodem wielkie wypadki ostatnich czasów. Ojczyzna dziś potrzebuje ugruntowania w świadomości wszystkich obywateli zrozumienia, iż do zbudowania państwa trzeba nie mniejszego zespolenia wszystkich sił, jak go było trzeba do uratowania go.

słowami piękniejszymi od rzeczy, które wypowiadają, wszystkie owe półśmiechy, spojrzenia, czary kilku minut, rumieńce, kolory, gesty łabędzie, upajające zioła i rośliny — aby za chwilę jednym brutalnym ruchem je rozsypać i jednym słowem, jak ciecicę noża szybkim i ostrym, wydać na nie wyrok. Nad czarownym bukietem jej wiosny unosi się zawsze zmierzch jesieni, nad tękotą jej miłości krąży zawsze cień złego losu, nad każdą, nieśmiało nawet wyblagawaną radością życia płynie zawsze groźny zwiastun katastrofy.

Pawlikowska, kiedy była jeszcze młoda, szczęśliwa, uwielbiana, wschodząca i niewy-gnana, już wołała z rozpaczą, jakby od pier-wszej chwili wejścia w życie niosła w sobie pełną świadomość jego nietrwałości i dra-pieżności:

*Już zwiędły kwiaty w bukiecie
wydartym mi siłą z dłoni.
Żyć to mi nie daciecie.
Lecz umrę mi nikt nie wzbroni...*

Ale zewnętrzna magia jej wierszy była tak wielka, wszystkie jej wróżbiarskie akcesoria poetyckie, owe morskie piany, omdlałe syreny, mewy, łabędzie, pióra, słowiki, białe odpływające okręty, mgły poranne nad uśpio-nymi stawami... wywierały tak nieodparty u-rok na czytelnika, że tymi właśnie wielobarwnymi akcesoriami wielu z nas oceniało wcześ-ną twórczość Pawlikowskiej. Poezję jej na-zywano nieraz kolorową i egzotyczną. I trzeba było może dzisiejszych czasów, z ich ogromem cierpienia i nawałą kataklizmów, aby kolory i wonie tej poezji odpłynęły na plany dalsze, a na ich miejsce wyłonił się ukryty w nich cień nieustannej tragedii świata, dra-pieżnego pożerania się przyrody, odwiecznego zmagania się ducha i materii, — aby zaczął szumieć wielki wachlarz, czarny i złowrogi, nie wachlarz balowy, ale wachlarz śmierci, jak ten, który w wierszu Pawlikowskiej uj-rzała umierająca Madame Butterfly nad swym domkiem i rodzinnym miastem Naga-saki.

Podobnie jak przed stu laty, słuchając preludium i mazurków „salonowego” kompo-zytora Fryderyka Chopina, upajano się naj-pierw ich lekkością, poetycznością, pasażami i fioriturami, zanim nie zrozumiano tragicznej głębi muzyki chopinowskiej, tak w wierszach Pawlikowskiej, nazywanej nawet czasem „pre-cieusą”, zwoziła nas przez wiele lat ich egzo-tyka, lekkość, magiczność, nim nie zrozumie-liśmy dzisiaj, że w tych na pozór delikatnych filigranowych strofach bił od pierwszej chwili ich powstania puls tragicznych przeczuć i zmagania. Precieusa... Pamiętam, jak przed dwudziestu laty jeden z krytyków polskich, bodaj Ostap Ortwin, krytykował Pawlikowską właśnie z powodu jej „salonowości”, egzoty-zmu i efektywności. Polemizując z nim, Lechoń tak mu mniej więcej odpowiedział: „Jakichże dostarczyć panu dowodów, że Pawlikowska jest wielką poetką? Możemy panu dać na to słowo honoru”.

Pawlikowska wiedziała o tych krytykach. Napisała krótki ironiczny czterowers, może do siebie samej, wiersz do precieusy:

*Widzę cie, w futro utuloną,
wahającą się nad małą kałużą
z chińskim pieskiem pod pachą,
z parasolką i różą...
I jakżeż ty zrobisz krok w nieskończoność?*

I jakżeż ty zrobisz krok w nieskończoność?... A jednak go zrobiła. Zrobiła go w naszych oczach. Z chińskim pieskiem, z pa-rasolką i różą, z amuletami i talizmanami i tysiącem drobnych czarów i uroków. Prze-szła przez „małą kałużę” życia i oto stoi po tamtej stronie, oświetlona na zawsze cudow-nym blaskiem nieśmiertelności. Wiersze jej żyć będą tak długo, póki żyć będzie mowa polska i literatura polska. Każde nowe poko-lenie czytelników, a zwłaszcza ci, którzy „w tajemnicę świata zaglądają od spodu — pod podszewkę kwiatów, liści, zapachów”, odkry-wać ją będą raz po raz i poprzez wszystkie uroki dyszących, wielobarwnych, magicznych słów, schodzić będą w tajemnicze głębie poe-tyckich doznań, bez których — mimo całej ich tragiczności — życie ludzkie byłoby o tyle uboższe i smutniejsze.

Paczki do Polski

I WSZYSTKICH INNYCH KRAJÓW

Zlecenia przyjmuje:

„EGO” WORLD PARCEL DESPATCH

ul. Hess 1 — TEL AVIV

Central Bldg. Jaffa Road — JEROZOLIMA

Na żądanie cenniki !

MIECZYSLAW LOJEWSKI

Prezes Zrzeszenia Naucz. Polskiego na Środk. Wschodzie.

GROŹBA „NIEPOTRZEBNYCH LUDZI“

W dalszym ciągu dyskusji nad zagadnieniami wychowawczymi życia emigracyjnego, rozpoczętej artykułem S. Świdorskiego na łamach „W Drodze“ zamieszczamy uwagi Prezesa Zrzeszenia Naucz. Polskiego na Środk. Wschodzie, będące streszczeniem referatu wygłoszonego na zjeździe tej organizacji.

NASZE szkoły średnie na emigracji żyją nadal życiem sprzed września 1939 roku. Programy i cele pozostały właściwie te same, pomimo że rzeczywistość zmieniła się zasadniczo. Tak, jak dawniej, szkoła produkuje maturzystów przygotowywanych do studiów uniwersyteckich, chociaż obecnie na uniwersytecie dostaje się tylko nieliczna ich garstka. Co ma począć reszta? Dopóki jeszcze istniała nadzieja na rychły powrót do Polski, można było w szkołach średnich ogólnokształcących pracować na podstawie programów i planów przedwojennych, obecnie jednak, gdy termin powrotu odsunął się w nieznana bliżej przyszłość, szkoła musi zmienić swój tor.

Nie możemy bowiem pozwolić sobie na wytwarzanie, przy pomocy obecnego gimnazjum i liceum, inteligencji nie przystosowanej do życia, rozgoryczonej do całego świata, narazonej na obijanie progów własnych i obcych urzędów w poszukiwaniu uchodźczych zapomóg, w końcu zaś na degradację społeczną i zejście, być może, nawet do samego dna nędzy. Musimy w naszych obecnych trudnych warunkach wychowywać młodzież na prawdziwie zaradnych, samodzielnych i produktywnych obywateli.

Ażby szkoła mogła we właściwy sposób spełnić to zadanie, musi przede wszystkim liczyć się z faktami. Tak np. jest faktem, że absolwenci polskich szkół na Środkowym Wschodzie mogą otrzymać kilka, w najlepszym razie kilkanaście, miejsc na tutejszych uniwersytetach i nawet gdyby się ta liczba podniosła, nie dorówna ona jeszcze ilości maturzystów i maturzystek, opuszczających co roku licea ogólnokształcące. Dla wyrównania tej dysproporcji było by wskazane przyjmować do szkół ogólnokształcących tylko młodzież naprawdę zdolną, która potrafi przejść przez obostrzone wymagania przy corocznej promocji, i stosować szczególnie staranną selekcję kandydatów do liceów. Tych, którzy nie zdołają odpowiedzieć podwyższonym wymaganiom, należy jak najwcześniej kierować do szkół zawodowych.

Młodzieży tej nie zdoła jednak wchłonąć sied polskich junackich szkół zawodowych istniejąca obecnie na Środkowym Wschodzie, toteż nakazem chwili staje się potrzeba powiększenia ich liczby i szerszego urozmaicenia specjalizacji.

Jest to już osobne zagadnienie, przekraczające ramy niniejszego artykułu. Musimy jednak pamiętać i o maturzystach liceów ogólnokształcących, których również w miarę możliwości trzeba przygotować do czekającego ich niełatwego życia. Co do żadnego z nich nie mamy pewności, że od razu dostanie się na wyższą uczelnię, jeżeli zaś nawet uzyska ten przywilej, nigdy nie wiadomo, czy będzie miał do końca studiów zapewnione utrzymanie. Należy więc i im także dać fach praktyczny i to taki, który by wymagał użycia raczej mózgu, niż mięśni, a w razie konieczności pomógłby przetrwać najcięższy okres. W tym celu było by pożądane wprowadzenie w szkołach ogólnokształcących, równoległe do normalnego kursu, nauczania jakiegoś niezbyt trudnego zawodu o charakterze międzyzawodowym. W szkołach męskich mogłaby to być radiotechnika i elektromonterstwo, w żeńskich — krawiectwo, bielizniarstwo i pielęgniarstwo — szczególnie to ostatnie z dyplomem siostry PCK, wreszcie dla obu płci nadaje się pisanie na maszynie, stenografia i podstawy księgowości. Oczywiście podstawowym warunkiem jest danie dobrej znajomości języka angielskiego w słowie i piśmie.

II

Przygotowując młodzież do ewentualnego życia i zarobkowania na obczyźnie szkoła polska musi zarazem dać jej mocne podstawy narodowe, tak ażeby jej wychowanek we wszystkich kolejach losu nie zapomniał, że trwa nadal walka o Polskę, której winien być wiernym synem.

Życie w obcym środowisku zawsze grozi wynarodowieniem. Może temu sprzyjać nieznajomość kultury i roli historycznej własnego narodu oraz naiwny podziw dla kultury obcej — szczególnie materialnej. W ślad za tym idzie przyjmowanie obcych zwyczajów, zaniedbywanie własnych tradycji, lekceważenie ojczystego języka i różne inne swoiste objawy snobizmu. Temu musi przeciwdziałać szkoła, uodporniając swego wychowanika na wpływy obce poprzez wychowawcze działania na jego intelekt i uczucie.

Pierwsza droga — to uwypuklanie wszystkich wkładów, jakie nasz naród wniósł do skarbnicy kultury europejskiej w dziedzinie sztuki, nauki i techniki. Przyczyni się to do zwalczania rozpowszechnionego mniemania, jakoby byliśmy jedynie odbiorcami, a nie współtwórcami zachodnio-europejskiej cywilizacji.

Dalej należy jasno przedstawić dziejową ideę narodu, polegającą na jednoczeniu i organizowaniu krajów i ludów na obszarze między Morzem Bałtyckim i Czarnym i tworze-

niu w ten sposób wału, który bronił Europę Zachodnią przed zalewem fizycznej przemocy Wschodu. Wreszcie konieczne jest podkreślanie naszej przynależności do rzymsko-chrześcijańskiego świata Zachodu z jego ideałami wartości i wolności jednostki.

W ten sposób ujęte nauczanie dziejów narodu da syntetyczny obraz znaczenia Polski w historii naszej cywilizacji i okaże się zapewne skuteczniejsze od analizowania czynów poszczególnych jednostek.

Więże się z tym zmiana w sposobie przedstawiania roli wielkich ludzi w narodzie. Wychowanek naszej szkoły ma zdobyć przekonanie,

AWIESZ TY, CO Z POLSKĄ BĘDZIE?

(Dokończenie ze str. 1-ej)

w XIX w., pojąć nie mogąc ani dzikości barbarzyńców ani siły oporu tego miasta. Cyta-dela góruje nad nim przez blisko sto lat, w których ciągu żelazna obręcz fortyfikacji rosyjskich dławi Warszawę. Poza obrębem tych twierdz nie wolno nie tylko budować, ale nawet sadzić drzew. To już nie „l'homme“, ale tysiąc razy bardziej nieszczęsna „ville au masque de fer“.

I oto miasto, położone nad wielką rzeką, w samym sercu Europy, na skrzyżowaniu rozlicznych dróg, miasto o możliwościach w skali już nie europejskiej ale światowej, skurczyć się musi na wiek niemal w ramach za ciasnych, zgniecione, zmiażdżone zakazem rozbudowy. Powietrze, słońce, zieleń rzadkimi są gośćmi. Okupant zamyka drogę słońcu. Rodzą się uliczki wąskie i krzywe, długie węże podwórców, do których nigdy nie zajrzy promień dnia, to dziwoląg rosyjskiej urbanistyki, która zienawidziła wszystko, co w Warszawie, ciągle, a na przekór wysiłkom rusyfikacji, przecież jest Europą i Zachodem. Rosja pragnie z Warszawą zrobić miasto szczerze rosyjskie, nie różniące się niczym od przekłecie brzydkich stolic gubernii wschodnich. Ona stwarza specyficzne ghetto, obejmujące stałowym pasem całe miasto bez wyjątku. Gdy wreszcie, wreszcie, późno, bo w drugim dziesięciu lat XX w., pas pęknie, Warszawa 1.900 hektarów rozpręży się błyskawicznie i odcznie na przestrzeni sześć razy większej, bo obejmującej 11.483 hektary.

Równocześnie z zakazem stawiania nowych domów i sadzenia drzew poza obrębą twierdz, Rosjanie przystępują do burzenia wszystkiego, co nosi jakikolwiek ślad minio-nej wielkości i piękna stolicy Wazów, Sobieskiego, Sasów i Stanisława Augusta. Szturm generalny. Znika patyna wieków, idą wniwecz pozostałości królewskiej Warszawy, rosyjski plug, azjatycka brona niwelują powierchnię miasta, byle zatrzeć jego zachodni charakter, jego na wskroś europejską fizjognomię. Niech zginą resztki gotyku, niech głęboko w ziemię zapadnie się renesans, niech znak nie zostanie po baroku, niech drewniane, żółte parkany zastąpią saskie rokok, niech na miejscu klasycznych linii architektury „ostatniego Polski Augusta“ rozpanoszy się ohydna bania cerkwi, tak sprzeczną ze wszystkim, co polskie i zachodnie.

Pałace? Ależ one niepotrzebne! Co rychlej przerobić je na koszary soldackie. Kościoły? Za dużo kościołów, za mało więzień. Muzea? Biblioteki? Nie wolno ich zakładać, a to, co jest, zniszczyć się na miejscu, albo zostanie wcielone do muzeów, do bibliotek rosyjskich. Nowe szpitale? Niepotrzebne! Pomniki? Niech stanie pomnik Paskiewicza! Teatr? Dyrektorem ich ma być rosyjski generał albo zgoła policmajster. On dyktować będzie repertuar, on imię i nazwisko poety zastąpi literami „J.S.“, wykreślając w „Mazepie“ tytuł królewski Jana Kazimierza. Pamięć przeszłości? Z okna pałacu Zamojskich wyrzucony na bruk, padnie fortepian Chopina.

Strasliwy obraz, w jakim Norwid zaklął chwilę defenestracji fortepianu, dokonanej przez kozaków, powinien być znany światu równie dobrze jak defenestracja praska z 1618 roku, która dała hasło do wojny trzydziesto-letniej. Defenestracja warszawska jest hasłem wojny nieustającej, hasłem wojny o wolność. Wiersz Norwida, ten wiersz — krótkometrażowy film dokumentalny — więcej mówi o Rosjanach i o Warszawie, niż by powiedzieć mogły grube tomy historii. „Ideal! sięgnął bruku...“ Prawda, ale to był bruk Warszawy! On, choć twardy i szorstki, przecież utulił ika-jące struny fortepianu i nie zapomni jego ostatniego akordu.

W obłężeniu z września 1939 r. i podczas powstania sierpniowego 1944 r. bruk Warszawa grał ciągle etiudę Chopina. Ten bruk, zryty pociskami armat, przebity bomb tysiącem, krwawy, gra ją po dziś dzień. On odpowiada na pytanie, co będzie z Polską jutro, za rok, za dwa, za dziesięć, za dwieście lat.

Cała Warszawa jest gotową odpowiedzią na to, zaprawdę, nie retoryczne pytanie. Myślimy o niej, myśląc o Polsce całej. Widzimy Warszawę, stolicę Polski niepodległej, jak bierze się do roboty, jak przywraca dawny a piękny kształt gmachom zdeformowanym, zmienionym nie do poznania w ciągu blisko stuletniej okupacji. Warszawa straci banie-cbulę z pałacu Staszica i dom ten na

nie, że cały naród jest „kowalem swego losu“, a nie tylko jego wodzowie. Tych zaś będziemy przedstawiać jako szczytowe ucieleśnienie pewnych dążeń, istniejących w każdym Polaku, a nie jako mężów opatrznościowych. Wzbudzać to będzie w uczniu poczucie odpowiedzialności narodowej i natchnie wiarą we własne siły. Do zachowania zaś u młodzieży ducha walki przyczyni się pamięć, że naród polski od zarania istnienia musiał zbrojną ręką walczyć o zachowanie niepodległości, że nieraz był zwyciężany, a jednak zawsze uwalniał się z narzucanego mu jarzma.

Drugą drogą jest oddziaływanie na uczu-

powrót siedzibą nauk uczyni. Zburzy sobór na pl. Saskim, zmiecie cytadelę, pracownicy i mądrze zarazem grzebać pocznę w ziemi, by z jej głębi wydobyć średniowieczne mury i baszty. Zrzuci szyi wschodni, azjatycki, pod-depce i polamie go, oddawszy zaś przeszłości to, co było i jest przeszłości rzeczą, pójdzie modzieńczym krokiem naprzód, aby tworzyć „Nowe Światy“, wchłaniające powietrze i słońce.

Leżąc Warszawa, będąc symbolem całości, to tylko pars pro toto. Nie zacieśniajmy się do symbolu wyłącznie. Entuzjasta i pesymista w równym co najmniej stopniu, Stanisław Szczepanowski, pisząc o „racjonalizmie narodowym“, daje statystykę wzrostu ludności w rozmaitych krajach Europy za czas w latach 1860—1894, biorąc jako podstawę nie tylko naród osiadły w dawnych swych siedzibach, ale i emigrację. Są to, jeśli idzie o nasz naród, czasy stosunkowej (jak stosunkowej!) pomyślności pod zaborem austriackim, coraz trudniejsze pod pruskim, tragiczne pod rosyjskim. Wzrost narodu polskiego wyraża się w 84%. Po nim idzie Rosja europejska z 55%, Węgry z 45%, Niemcy z 32% itd. itd. Autor określa ten „zdumiewający wynik“ słowami: „...w ubiegłych latach 30 żaden naród w Europie, żaden kraj nie wzmógł swojej siły liczebnej w tej samej mierze co Polacy. Pomimo powstania w r. 1863 i spustoszenia kraju, pomimo ruiny szlachty, ukazów z r. 1864, proskrypcji i konfiskat, edyktów bismarckowskich i funduszu do wykupna ziemi polskiej, jednak od czasu, jak posiadamy jakiejkolwiek cyfry, nie ma okresu, w którym by narodo-wość polska równie spotężniała... Tak, jak żaden mikroskop nie dopatry się różnicy ziarna żywego a martwego — tylko doświad-czenie może wykazać, że jedno wzrośnie a drugie zamrze — tak nie znamy żadnej miary albo wskazówki mechanicznej na żywotność narodową“.

Mimo wszystko pytanie: „A wiesz, co z Polską będzie...?“ ma za mały zakres i za małą treść. Pytanie powinno brzmieć: „A wiesz ty, co będzie z Europą i ze światem, jutro, za rok, za dwa, za dziesięć, za dwieście lat?“. Będąc zawsze osamotnieni w momencie burzy, która uderza na Polskę od zachodu albo od wschodu, będąc zawsze pomiędzy dwoma kamieniami młyńskimi, stanowimy przecież element składowy olbrzymiej całości, zwącej się kulturą, cywilizacją, ludzkością. Nic, co jest ludzkiego i europejskiego, nie jest nam obce. Za lat niespełna dwadzieścia będziemy obchodzili rocznicę pierwszej, pewnej, ustalonej daty w naszej historii, która liczy sobie dziesięć wieków. Pozytywista, rzekomo trzeźwy krytyk, Michał Bobrzyński, nazywa całą naszą historię historią kłeski. Nonsens! Contradictio nie tylko in adjecto, ale in ob-jecto. In subjecto! Zaprzeczenie we wszyst-kim. Kłeska, która rzekomo jest kłeską w permanencji, kłeska tysiącletnia, kłeską nie jest. Kto miał zginąć w ciągu tysiąca lat, ten już zginął. Byliśmy w ciągu lat tysiąca! Byliśmy. Jesteśmy. Będziemy. Jeśli zginie-my, zginie z nami Europa i świat.

Stanowimy jakiś ułamek, jakiś epizod na obrotowej, gigantycznej scenie, ale do tej sceny należymy, będąc jej immanentną częścią. Protagonisci z września 1939 r., staliśmy się, dzięki własnemu zaślepieniu, komparsami w r. 1945, który jednak nie jest ostatnim rokiem historii. Ani Teheran, ani Jałta, ani San Francisco, ani Poczdam, operując cyrklem, wagą i miarą, nie potrafią dotrzeć do tajni i głębi narodowego życia, nie zdołają odróżnić ziarna żywego od martwego. Pszenica egip-ska, mająca za sobą lat wiele tysięcy, wystrzeliła kłosem. Pszenica polska, jeśli nie biskupińska, to piastowska, rosła bez prze-rwy, karmiąc nas samych i karmiąc Europę. Powtarzam, że naród, który miał zginąć, zgi-nął, gdyż było dość czasu i sposobności. Myśmy wyzyskali tysiąc lat po to, by żyć.

Przypominają mi się słowa, które nie wiadomo kto wkręcił do nieśmiertelnego festi-walu polskiego, jakim są „Krakowiacy i górale“, słowa o „mocy wielkiej“: „Choćby nas i pożarła, nie dajmy się strawić!“. Któż jest autorem tych słów? Oczywiście, sam wielki Jan Jakub Rousseau, który dał nam tę radę przed tyłu, tyłu laty.

Ale my wiedzieliśmy to i bez Jana Jaku-ba. My to wiemy od tysiąca lat.

Zygmunt Nowakowski

cie. Należy rozwijać miłość do kraju, do je-go widoków, do jego ziemi i nieba, do naro-dowych zwyczajów i tradycji, do narodowej twórczości.

Nasza młodzież ma już obraz Polski bar-dzo zatarty, a najmłodszy nie wie, że i nie ro-zumieją, co to jest śnieg. Tu powinna przyjść z pomocą nauka geografii dając uczniowi wy-raźny obraz ojczyzny, z uszczupleniem choć-by takich szczegółów, jak drobiazgowo do-kładny przebieg granic, statystyka lub struk-tura społeczno-gospodarcza. Dziś rzeczy te zmieniają się i niewątpliwie doznają dalszych zmian w przyszłej Polsce.

Obok tego trzeba, by nauka języka ojczy-stego, geografii i historii możliwie jak naj-szerzej uwzględniała polski folklor, z czym musi się łączyć zachowywanie naszych tra-dycji i obrzędów w zbiorowym życiu szkoły.

Poważnym wreszcie czynnikiem w wy-chowaniu młodego pokolenia jest odpowied-nio ujęta i podana w nauczaniu — sztuka oj-czysta. Absolwent szkoły ogólnokształcącej nie może ograniczać swej znajomości sztuki narodowej wyłącznie do literatury, powinien mieć także pojęcie o najcenniejszych dziełach sztuk plastycznych, o pomnikach narodowej architektury, powinien poznać polskich kom-pozytorów, piękno pieśni ludowej i pewne — starannie wybrane — pieśni żołnierskie. Dzię-ki temu wyrobi sobie smak artystyczny i nie będzie się na obczyźnie zachwycał byle jaką rewiową piosenką czy wielobarwną ilustracją w popularnym magazynie.

Zadaniem szkoły jest wychowanie poży-tecznego i świadomego obywatela. Musi więc uczeń wynieść ze szkoły zasób podstawowych wiadomości politycznych. Dzieci odczuwają wydarzenia polityczne i są narażone, nie mniej niż dorosli, na wrogą propagandę. Dlatego też byłoby dziś potrzebne szybkie wprowadze-nie nowego przedmiotu, którego nauka odby-wałaby się we wszystkich klasach i który nazwałbym „nauką obywatelską“.

Zastąpiłaby ona to, co nazywamy nauką o Polsce społecznej. Program jej musiałby obejmować następujące tematy:

1. Narod. Państwo. Prawa i obowiązki obywatelskie.
2. Główne typy ustrojów państwowych wraz z ich krytyką.
3. Demokracja a totalizm.
4. Prądy społeczno-gospodarcze: kapita-lizm, socjalizm, komunizm.

Życie wskazałoby, jak ów przykładowy program należy rozszerzyć i realizować w szczegółach.

III

Dobry nauczyciel — to dobra szkoła. Jaki jest obecny nauczyciel polski?

Oderwany od kraju i narodu, tułający się od 5 lat po wszystkich zakątkach świata, od-cięty często od źródeł nauki i kultury pol-skiej, żyje przede wszystkim tym, co zdążył wchłonąć przed rokiem 1939. Nieliczne wy-jątki raczej potwierdzają tę niewesołą regułę.

Życie nie czeka; przepływa mimo nas fala wydarzeń i przemian — tak wielkich, jak może nigdy dotychczas w dziejach ludz-kości; zjawiają się przełomowe wynalazki, po nowe źródła energii sięgamy do samego wnętrza materii. Wśród tego — my żyjemy w sztucznych warunkach, niejako pod szkla-nym kłosem. Inteligencja jałowiejze z roku na rok, tracimy szersze zainteresowanie, po-chłanianie coraz bardziej przez mizerne spra-wy dnia powszedniego.

Pod groźbą stania się „niepotrzebnymi ludźmi“, pod groźbą wychowania „niepo-trzebnych ludzi“ musi zbliżyć się nasze nauczycielstwo do wezbranej rzeki ludzkości, mu-si brać udział — przynajmniej bierny — w rozwoju kultury.

Podstawową drogę do tego celu stanowi dziś opanowanie języka angielskiego. Każdy inteligent polski, a nauczyciel w każdym bądź razie, winien mieć za ambicję takie poznanie angielszczyzny, by mógł czytać literaturę na-ukową z zakresu swej specjalności dla uzyska-nia niezbędnego instrumentu twórczej pracy i dla dalszego samokształcenia się.

W Polsce Niepodległej doniosłą rolę w doskonaleniu się nauczycielstwa odgrywały periodyczne zjazdy i konferencje. Dawały one nowy materiał do przemyslenia i pozwa-łały na swobodną wymianę myśli. Tradycje tych zjazdów należy odnowić — organizato-rami mogą stać się władze szkolne lub Zrze-szenie Nauczycielstwa Polskiego na Środko-wym Wschodzie.

Aby szkoła mogła należycie wykonywać swą pracę, musi posiadać poparcie domu. Sto-sunek rodziców do szkoły nie zawsze jest sprawiedliwy, nie mówiąc już — przyjazny. Czasami, poprzez rodziców, niekiedy bezkrytycznie przyjmujących informacje z ust dzieci, szerzą się w społeczeństwie fałszywe infor-macje o szkole. Często również znaczną część troski związanej z wychowaniem dziecka ro-dzice przerzucają na szkołę. Stan taki nie jest zdrowy.

Szkoła jest współwychowawcą i wolno jej domagać się od rodziców prawdziwej współ-pracy, tym bardziej, że zadanie wychowania młodzieży polskiej na emigracji jest trudne i odpowiedzialne. W swej pracy szkoła musi dać maksimum wysiłku, zarówno w zakresie nauczania jak i organizowania nauki, zdoła jednak wykonać pomyślnie swe niełatwe za-danie tylko przy poparciu społeczeństwa.

ROMUALD GANTKOWSKI

WSPOMNIENIE O SOLSKIM

W recenzji z „Horsztyńskiego” pisze Boy-Zeleński: „Widziałem Solskiego w tej roli przed paroma dziesiętkami lat, i muszę stwierdzić, że ten stary wciąż się rozwija! Postać zyskała jeszcze na szlachetności wyrazu i jego Horsztyński jakież jest prosty i wzruszający — piękny”. A miał Solski w chwili pisania tej recenzji już dobrze po siedemdziesiątce!

Tak się złożyło, że pierwszą rolą, w której dane mi było widzieć Solskiego, był właśnie Horsztyński. Było to w roku 1919 w moim rodzinnym mieście Poznaniu, w świeżo przez polski zarząd miejski przejętym gmachu operowym, zbudowanym przez Niemców dla celów germanizacyjnych tej prastarej polskiej dzielnicy. Gościnne występy Solskiego, które ściągały tłumy poznańców, stały się dla mnie przełomowym wydarzeniem.

Nigdy nie zapomnę tego grudniowego dnia w domu moich rodziców — ojciec mój był w serdecznej przyjaźni z Solskim — kiedy to, stremowany do nieprzytomności, deklamowałem przed Mistrzem monolog z „Kordiana”. Marząc od dziecka o scenie, wychowany w kuliście dla Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, umiałem na pamięć całe fragmenty naszej wielkiej poezji. Wybrałem swój „po-
pisowy numer”: „W przeszłość patrzę ciemną...” i zdawało mi się, że oślnię Solskiego. Byłem więc głęboko dotknięty i obrażony, kiedy nasz gość nie zareagował zupełnie na mój wyczyn — a przecież nie żałowałem ani głosu, ani mimiki — i skierował szybko rozmowę na inny temat. Razem ze mną ojciec mój, gorący zwolennik moich aspiracji teatralnych, jakby posmutniał, za to matka, zagorzała przeciwniczka tych scenicznych afektów — tryumfowała!

Zawiedziony, rozczulony i zniechęcony, siedziałem w ponurym nastroju, nie mogąc się doczekać końca wieczoru. W duchu rezygnowałem już ze swoich planów i ze zgrozą myślałem o czekającym mnie „zwykłym” życiu „zwyčajnego cywila”. Miałło się jednak stać inaczej. Kiedy późną już nocą wyprowadzając dyrektora otwierałem mu bramę naszego domu, Solski pochylił się nagle i szepnął mi do ucha, rozkazując: „Wstąp na scenę — chłopce!” I tak też się stało.

Po skończeniu państwowej szkoły dramatycznej zostałem zaangażowany do miejskich teatrów dramatycznych w Poznaniu, gdzie też już jako aktor i pomocnik reżysera zetknąłem się z Solskim po raz drugi w 1925 roku. Ten niezapomniany okres półrocznej ciężkiej pracy aktorskiej i reżyserskiej — Solski dawał mi do wstępnego opracowania wszystkie zbiorowe sceny różnych wielkorepertuarowych sztuk — pod twardym i arbitralnym kierunkiem Mistrza, był nie tylko świetną szkołą dla mnie, ale pozwolił mi również przyrzeć się z bliska i ocenić właściwie nieprawdopodobną wprost gamę kunsztu aktorskiego tego naprawę z krwi i kości człowieka teatru.

Chudy, średniego wzrostu, małpio zręczny, mistrz maski, z łatwością wczuwający się w każdą epokę, noszący kostium stylowy jakby się był w nim urodził, nieomylny w zawsze właściwym akcencie odtwarzanej postaci, o przejmującym, ostrym, wysokim timbre głosu, używanego dowolnie w każdej tonacji, z nieporównaną maestrią, sugestywny także wyrazista mimiką i zdecydowanym gestem — był i jest Solski-aktor także niezrównanym reżyserem, pedagogiem i dyrektorem.

Ludwik Sosnowski — bo takie jest jego prawdziwe nazwisko — urodził się w 1855 roku na wsi, w ziemi krakowskiej, jako syn powstańca z 1831 r. Wbrew woli rodziców wstępuje w 1875 r. na scenę krakowską, gdzie zmienia nazwisko na Solski. Najbliższy przyjaciel i najgorętszy chyba wielbiciel jego, Kornel Makuszyński, opowiadał mi, że rozpoczęciu wielkiej kariery scenicznej Pana Ludwika towarzyszył krótki dialog: „Co ty chcesz grać?” pyta chuderlawego chłopca groźnie dyrektor teatru. „Same duże role!” — odpowiada rezolutnie przyszły Mistrz.

Pierwsze dwudziestolecie sceniczne Solskiego to nie tyle okres „górny i chmurny” — ile przede wszystkim głodowy. W materialnie niezwykle trudnych warunkach grywa Solski dosłownie wszystko, ba, nawet tańczy i śpiewa na wszystkich scenkach i scenach polskich. W roku 1876 jest w teatrze ku „Eldorado” w Warszawie, w latach 1877—1888 w Łodzi, w sezonie 1882-3 śpiewa Jontka w „Halce” w Poznaniu, po czym znowu gra i reżyseruje w Warszawie, Wilnie i Krakowie. Około 1900 roku jest główną podporą i reżyserem u Pawlikowskiego we Lwowie. Rok 1905 jest pamiętną datą w biografii Solskiego. W roku tym obejmuje po Kotarbińskim dyrekcję teatru w Krakowie, by nią kierować przez 8 lat najświetniejszych bodaj w historii sceny polskiej. Kraków ówczesny — jeszcze żył Wyspiański — eksplodujący talentami w dziedzinie sztuki malarskiej, w literaturze i poezji, w nauce, w rzemiołstwie i muzyce wywarł na Solskiego, będącego w szczytowej fazie rozwoju swego talentu potężny wpływ. Przyszły historyk-teatrológ przypisze zapewne temu wpływowi nie tylko wspaniałe aktorskie kreacje Solskiego z tego okresu, ale przede wszystkim jego działalność w charakterze dyrektora-reformatora. To Solski pierwszy wprowadził na scenę polską stałego kierownika literackiego i powierzył to dziś niezbędne w teatrze stanowisko Lucjanowi Rydłowi. To Solski dał scenie naszej pierwszego stałego dyrektora, a był nim Karol Frycz.

Z tych również lat datuje sławna „garderoba Solskiego”, nie mająca sobie równej na całym świecie. Przesiadując całymi godzinami w czasie przedstawień w garderobie dyrektorskiej teatru krakowskiego, artyści-przyjaciele skracali sobie czas oczekiwania na gospodarza malowaniem na ścianach karykatur i portretów Solskiego z jego licznych ról, poeci i literaci wypisywali ad hoc na cześć Solskiego ułożone wierszyki i wypowiedzi, muzycy kilku taktami kompozycji utrwalali swój podziw. Widnieje tam też dużo podpisów wybitnych cudzoziemców, przejeżdżających przez Kraków. Kiedy już trzy ściany tego swoistego „muzeum” zostały zamalowane i zapisane, Solski rozpiął na czwartej duże płótno w szerokich drewnianych ramach, gdzie brał artystyczna kontynuowała z zapalem swoje dzieło. Ten „obraz-dokument” zabrał Solski — opuszczając w roku 1913 teatr krakowski dla warszawskich „Rozmaitości” ze sobą do Warszawy, gdzie jakby dla zachowania ciągłości wielkiej tradycji doszło kilkadziesiąt nowych co najświetniejszych nazwisk.

Po krótkiej dyrekcji Solskiego w Teatrze Polskim pod koniec pierwszej wojny światowej powraca on na naczelne stanowisko jako dyrektor wraz z Osterwą nowego Teatru Narodowego w r. 1925. Na kilka lat przed wojną prowadzi Solski Teatr Narodowy przez kilka sezonów, by dopiero w 1938-39 ustąpić na rzecz A. Zelwerowicza.

Ale wróćmy do Solskiego-aktora. Ma on w swoim olbrzymim i bogatym repertuarze role tak diametralnie różne, tak zdawało by się niemożliwe do odegrania przez tego samego człowieka, jak na przykład Chudogęba z „Wieszczu Trzech Króli” Szekspira, i Gamrat w „Krolewskim Pojedyńku” Rydla, jak Drwal w „Zaczarowanym Kole” Rydla i „Car Samozwaniec” Nowaczyńskiego, jak Józio Grojse-szyk w „Podróż po Warszawie” Szobera i w dramacie japońskim „Tarako!” samuraj Macuo.

Boy-Zeleński pisze w sprawozdaniu z „Dożywcia” Fredry w ten sposób („Flirt z Mel-pomeną” r. 1925, str. 124): „Rola Solskiego jako Łatki, to jedna z wielkich sław tego aktora, jeden z tych kapitałów polskiego teatru, który winien być utrwalony na filmie i na płycie w jakimś muzeum teatralnym”.

Temu szustnemu życzeniu Boy’a stało się zadość i dumny i szczęśliwy jestem, że mnie

MARIA PAWLIKOWSKA

W I E R S Z E

ŚWIATU

*Świat ten jest dla mnie i jam jest dla świata,
który ciężarem serce mi rozgniata,
jak nieprzytomny kochanek.*

*Daję mu wszystko, nie trwając się o nic,
choć grozi śmiercią, którą trzyma w dłoni,
mnie, najciężniejszej z kochanek.*

*Zabawki, skarby, umarłe motyle
kładzie przede mną i leżą przez chwilę,
aż znów je wicher rozmięci.*

*Całują usta jego wieloustne:
mów o miłości nim na zawrże usnę
w objęciach twoich, mój świecie.*

NIKE

*Ty jesteś jak paryska Nike z Samotraki
o miłości nieuciszona!
Choć zabita, lecz biegniesz z zapalem jednakim,
wyciągając odcięte ramiona...*

PTAKI

*Ptaszek umierający chowa się, ucieka,
by go nie ujrzał nikt w świecie,
jak serce co się skryło w głąb piersi człowieka
by umierając, umrzeć w sekrecie.*

SŁOWIKI

*Słowiki są dziś nieswoje.
Bzy są jak chmury krzyżyków.
Chcesz zabić serce moje?
Przecież się nie zabija słowików?*

SŁĘPA

*Słępa jestem. Oślepiła me majem.
Nie wiem, prócz, że pachną bzy.
Ustami tylko poznaję
żeś ty nie ty...*

WYBRZEŻE

*Meduzy rozrzucone niedbale,
muszle, które piasek grzebie,
i ryba opuszczona przez fale,
jak moje serce przez ciebie.*

ZMIERZCH

*Wybrzeże coraz to bladejsze
w lilowej półzłobie
i żaglowiec oparty na wietrze,
jak ja na myśli o tobie.*

NIEPOROZUMIENIE

*Oto jaśniej wieniec: galaktyka.
Oto zanosi się na śpiew słowika
Na głos miłości,*

*Obcej ziemskim więzom.
W jaśminach szelest,
Kotka czarno-siną
Czeka i myśli:*

*„Śpiewające mięso
Da znać za chwilę
Gdzie go poszukiwać...”*

GRÓB

*Kamienna ławka
trawą porosła
jak zimna płyta
mogiły.*

*Tu dwa imiona
dwa zakochani
wyryli
w podpis zawili.*

*Tutaj siedzieli,
patrząc na siebie.
Może nie żyją
w tej chwili?*

*A jeśli żyją,
kochając innych,
to też tak
jakby nie żyli.*

przypadło w udziale spełnienie tego zadania! Kiedy po kilkuletnim pobycie za granicą w Niemczech, w Ameryce, we Francji i we Włoszech wróciłem w 1934 roku do kraju i osiadłem w Warszawie, poświęcając się wyłącznie reżyserii filmowej, odwiedziłem oczywiście Solskiego w jego mieszkaniu w Alejach Jerozolimskich. Powitany najserdeczniej i zwymyślany niemniej serdecznie za to, że rzuciłem scenę—czego mi zresztą nigdy Solski nie mógł darować — oglądałem z zachwytem istotnie bezcenne muzealne jego zbiory i pamiątki. Szczególny mój zachwyt wzbudziły akwarele Wyspiańskiego, który malował Solskiego w kilku jego rolach — między innymi jako Jagiełłę. Oglądając ów „obraz-dokument” (czwartą ścianę) z garderoby Solskiego w Krakowie — wyraziłem żal, że takie dowody wspaniałej epoki teatralnej nie zachowują się dla przyszłych pokoleń. Zapytałem też mistrza o stan jego krakowskiej garderoby. Wyjaśnił mi, że jakkolwiek nie uczyniono, aby ściany garderoby odpowiednio zabezpieczyć od zniszczenia — Solski jeszcze w 1913 roku zostawił magistratowi w Krakowie 600 koron na pokrycie ścian szkłem — to jednak mało-widła i napisy zachowały się względnie dobrze. Zaproponowałem wówczas Solskiemu sfilmowanie jego krakowskiej garderoby i jego warszawskiego mieszkania. Wyraził swą zgodę natychmiast.

Po tej naszej rozmowie zaczęła mi chodzić po głowie myśl nakręcenia filmu o Solskim. Nie była to idea nowa. Dowiedziałem się, że kilka lat przede mną myślał o tym również Ordyński, pragnący nakręcić wówczas krótkometrażówkę poświęconą kreacji Solskiego. Ani Solskiemu jednak, ani mnie nie odpowiadał krótki metraż. Wiedziałem, że na 300 czy 600-metrowej taśmie nie zmieszczę wszechstronnej charakterystyki Solskiego. Marzyłem o dużym filmie.

Ostatecznie wiosną 1938 roku polecałem z Solskim — nie uznaje on innej komunikacji, kolejowa jest dla niego i za wolna, i za nudna—do Krakowa na dwa dni dla dokończenia zdjęć filmowych dawnej garderoby. Nigdy nie zapomnę tych 49 godzin w „reżyserii” Solskiego. Nie wolno mi było zrobić niczego z własnej inicjatywy. Mieszkaliśmy, jadałem, chodziłem tam, gdzie Solski chciał. Ba, nawet syjałem tyle — ile mi Solski pozwolił. Solski był w swoim żywiole. Był wzruszający i czarujący. W błyskawicznym tempie obleciał cały teatr

Słowackiego od piwnicy do strychu i od dyrektora do maszynisty, zająrał wszędzie do kostiumerii i na sznurownicy, pamiętał nazwiska i koneksje rodzinne krawców i garderobianych, a wieczorem na przedstawieniu „Małego Domku” Rittnera na przemian to omawiał ze mną grę i reżyserię, to witał się z niezliczoną ilością przyjaciół i znajomych.

Myślałem, że po spektaklu zdołam nakłonić tego wówczas 83-letniego młodzieńca do udania się na spoczynek. Gdzież tam — poszedł z nami do knajpy, gdzie w towarzystwie przypadkowo spotkanego Leona Wyrwicza przesiedzieliśmy w wesołym nastroju do 3. w nocy.

Nie zdążyłem jeszcze dobrze zasnąć, kiedy o 7 rano zbudził mnie Solski już po odbyciu rannego spaceru dokoła Sukiennic. Po pierwszym śniadaniu, przyrządzonym u Pollera pod „osobistym nadzorem” Solskiego — pojechał z jego inicjatywy w towarzystwie pani Rostworowskiej i jej synów na cmentarz na Służewcu, gdzie spoczywa wielki Karol Hubert. Po złożeniu wieńca na grobie swego długoletniego przyjaciela, Solski wdał się w rozmowę ze znanym sobie oczywiście — jakżeby mogło być inaczej! — starym zapamiętanym grabarzem na cmentarzu. Mowa była o dawnych, świeżych i przyszłych nieboszczykach. Przed oczami moimi przesunął się w tym kapitalnym dialogu cały przeszły i współczesny Kraków. Było co słuchać! Scena naprawdę szekspirowska! Kiedy w pewnym momencie jowialny grabarz zaczął Solskiemu dobrodusznie tłumaczyć, że „kochany dyrektor tutaj powinien, między innymi, a nie tam gdzieś w Warszawie, umrzeć i kości swe złożyć”, Solski gwałtownie przerwał rozmowę i długo coś tam z burzeniem mruczał pod nosem.

Z uroczych wrażeń wizyty krakowskiej ochłoniąłem dopiero w samolocie powrotnym, kiedy Solski zostawił mnie samego w kabinie pasażerskiej, udając się na cały czas lotu z wizytą do pilota, zapewne pouczając go, jak ma latać.

Solski nowicjuszem w pracy filmowej bynajmniej nie był. Grał jeszcze w niemych filmach; w 1930-1 roku wystąpił w studio „Paramountu” pod Paryżem w produkcji polskiej wersji amerykańskiego filmu Ordyńskiego. Muszę stwierdzić, że nigdy w współpracy z innymi obcymi i polskimi aktorami nie spotkałem się z taką solidnością, wytrwałością i żarliwością jak u tego szalonego, niezmordowanego staruszka. Film, który z inicjatywy A. Nowaczyńskiego nazwałem „Geniuszem sceny”, ujęty w formę prelekcji wygłoszonej przez drugiego po Rydla kierownika literackiego sceny krakowskiej, Adama Grzymałę-Siedleckiego, obejmuje 13 fragmentów czołowych ról Solskiego. Szekspir i Słowacki, Molière i Fredro, Wyspiański, Rostworowski i Nowaczyński przemówili po raz pierwszy z polskiego ekranu. Papę Zietena w „Fryderyku” grał Brydziński, Chłopickiego Węgrzyn, Gospodynię w „Weselu” Pancewiczowa, Salusię w „Horsztyńskim” Barszczewska. „Film-pomnik” — krzyknął Makuszyński, któremu pokazywałem film w pierwszym jeszcze surowym montażu i wybiegł z sali projekcyjnej prosto do urzędu pocztowego, by nadać depeszę gratulacyjną do Solskiego, przebywającego na urlopie.

„Geniusz sceny” uzyskał złoty medal za kreację Solskiego na Biennale w Wenecji w roku 1938. W filmie tym — o ile któraś z kilkunastu kopii się zachowała — pozostał jedyny ślad po Solskiego zbiorach, które przed samą wojną miało przejść Muzeum Narodowe w Warszawie, a które uległy zniszczeniu w czasie bombardowania stolicy we wrześniu 1939 r. Sam Solski stał ponoć w czasie tego bombardowania na dachu własnego domu i gasił bomby zapalające. Okupację niemiecką przeżył w znakomitej formie, jak o tym świadczą dwa lata temu otrzymane z Warszawy listy, w którym Janowi Lechoniowi donosi przyjaciel, że „Solski młody jak zawsze”. W chwili obecnej 90-letni Solski przebywa w Krakowie, gdzie jakoby niedawno grał swoją świetną rolę Dyndalskiego w „Zemście”.

O Solskim krąży w świecie aktorskim masę prawdziwych i nieprawdziwych anegdot, „powiedzonek”, legend. Przytoczę tu autentyczny epizod, jaki miał miejsce w Teatrze Narodowym w 1938 roku. Na próbie z jakiejś sztuki Józef Węgrzyn nie chciał, w obawie o swoje nogi, zeskokczyć z dwóch i pół metrowego rusztowania, a wymagała tego akcja. Reżyserujący sztukę zirytowany Solski sam wszedł na platformę i zgrabnie, lekko zeskokczył. Na to Węgrzyn: „No, gdyby miał pańskie lata, Dyrektorze...”

W roku 1937 Solski zawsze wyzywająco zdrowy — zachorował tak poważnie, że lekarze oczekiwali katastrofy z dnia na dzień. Kryzys jednak minął bardzo szybko i chory w rekordowym po prostu tempie wrócił do zdrowia i pracy. Wówczas to aktorzy taką sobie opowiadali bajeczkę: że nad łóżkiem u stóp nieprzytomnego Solskiego stanęła śmierć z kosą. Sama się wzruszyła widokiem bezwładnego Solskiego, na którego czyhała bezskutecznie tyle lat! Z tego pewnie wzruszenia wypuściła kosę z ręki i oparła ją o łóżko. Na to nagle zerwał się Solski — wieczny reżyser i wrzasnął: „Gdzie ty masz kosę?” Nic dziwnego, że śmierć się przestraszyła i... uciekła.

Ale aktorzy opowiadają sobie również — niektórzy w to silnie wierzą — że „Solski nigdy nie umrze”. I ja zaczynam w to wierzyć.

KAROL ZBYSZEWSKI

UDANY SKOK

ZIMĄ 45-go roku, w murzyńską noc nad Ruhrą, Tolek i Bolek polowali na swym Mosquito na pociągi: podli Niemcy, zamiast spać, strzelali z armat. Jeden z ich pocisków mniej chybił od innych i biedne Mosquito, jak kaczką na ciągu, oberwało porcję grubego śrutu. Misterna maszyna nie wykazała żadnej wyższości nad prymitywnym ptaszym — i też zniechęciła się od razu.

Wszystko w niej nawaliło: zegary, stery, przyrządy, światło... tylko silniki, o stalowych nerwach, pracowały nadal równo, jak skrzydła machają nadal bezmyślnie u nieprzytomnej kaczki.

W barbarzyńskich ciemnościach Bolek i Tolek lecieli z dobry kwadrans. Nie nie zdawali naprawić, nie wiedzieli, gdzie są, jak jest, i co robić.

— Trzeba *balować* — zdecydował pilot Bolek — może jesteśmy nad Francją...

Normalny człowiek, skoro ma się zwalić głową w dół, to już woli z jak najniższej wysokości. Ale że lotnicy wszystko robią na odwrot, więc Bolek wywindował maszynę jak najwyżej. Gdy poczuł, że mu trudno oddychać, rozkazał:

— Łubudu, Tolek! Wysiadka!

— Baj, baj, stary! — zawołał Tolek, rzucając się głową naprzód w szkaradną próżnię.

I oderwał się od samolotu niczem gruszka od drzewa.

Był to pierwszy w życiu skok Tolka ze spadochronem i Tolek od razu nabrał szczerzej antypatii do tego nowego zajęcia. Jako prawy syn chłopski poczuł nieprzeparty pęd ku ziemi... Dech mu zaparło, w uszach szwisało...

— Oj, czy aby winda nie zepsuta — pomyślał — coś za przedko zjeżdżamy!

Potem parasol się otworzył, pasy szarpnęły pod siedzeniem, szybkość zmalała, Tolek odetchnął swobodniej, lecz mając nogami w powietrzu, czuł się równie beznadziejnie jak Napoleon w dzieciństwie.

Podróż w dół trwała długo, lecz Tolek nie marnował czasu. Zgodnie z polską naturą jęł się znowu martwić:

— Byłe nie rymnąć o jakiś kamień — wzdychał — śmiesznie by było, ni z tego ni z owego, w szóstym roku wojny — zostać nagle trupem. Panie Boże, spraw, bym wylądował na stercie słomy! Co Ci to szkodzi?

Widocznie jednak zanadto już się oddalił od nieba, bo skromnego jego żądania tam nie usłyszano. Tolek klapnął u skraju lasu, spadochron wlokł go po konarach i krzakach...

*

Wyswobodziwszy się z upręży, Tolek obmacał swe ciało dokładnie, niczem najładniejszej dziewczyny. Stwierdził z zadowoleniem, że jest nieknięty, jak patentowana dziewczyna.

Uszedł trochę w las i zarył spadochron w kupę liści. Potem wylazł z powrotem na pole, trafił na jakąś drożynę i powłócił się jej śladem.

— Gdzie ja jestem — rozmyślał Tolek — w Niemczech, w Belgii, czy we Francji? Po naszej stronie, czy po szwabskiej? Pół miliona Polaków już siedzi w niewoli, po co ja tam jeszcze?...

Droga doprowadziła do wioski. Powietrze nie śmierdziało, z żadnego płotu nie straszył plakat z mordą Hitlera, więc Tolek nabrał nadziei, że jednak nie jest w Hunno-Rzeszy.

Drzwi jednego domu się uchyliły. W smudze światła stanął jakiś człowiek i zagapił się w ciemność. Z tej ciemności wypęził Tolek i — przez olśniewający cud zwojów mózgowych przypomniał sobie skomplikowane zdanie po francusku — kwaknął:

— Bonzur Mossier!

Człowiek podskoczył, niczem samolot po upuszczeniu 10-tonowej bomby, a Tolek tupnął nogą w ziemię i rzekł pytająco:

— Ici France?

Ujrzał na progu swego domu dziwacznie ubranego nieznajomego, być powitanym o 1. w nocy przez „bonjour”, zostać zapytanym o nazwę kraju równie naturalnie jakby o nazwę ulicy — wszystko to mogło wprawić w usprawiedliwione zdumienie. Odzyskawszy zmysły, człowiek we drzwiach odwrócił kurek swej wymowy. Tolek słuchał go, jak głuchoniemy Chłinczyk francuskiego kazania. I w miarę płynięcia niepojętych dźwięków przyznawał w duchu, że chroniczna pałka, którą otrzymywał w szkole z francuskiego nie była bezpodstawną szykaną nauczyciela.

Tymczasem z głębi wsi nadciągnęła cała kupa hałaśliwych osób. Ich śpiewy, piski i śmiechy nasuwały uzasadnione przypuszczenie, iż nie jest to powrót z zebrania zarządu Towarzystwa Przyjaciół Trzeźwości.

Wskazując palcem na rozbawioną czeredę, Tolek wybąkał:

— Polonais? Oui? Non?

Wymowny człowiek we drzwiach wnet się domyślił, o co chodzi i zawołał:

— Ah, vous êtes Polonais?

a do tłumy:

— Stanislas! Viens par ici. Un compatriote!

I oto z tłumy wyhynał Stanisław, polski emigrant. Zakręcił językiem w obie strony i już po minucie Tolek wiedział, że jest w oswobodzonej części Francji, o 50 km za frontem, a wesoła hafastra — że ma przed sobą bohaterkiego lotnika alianckiego, ofiarę kraksy. Zachwycone dziewczyny rzuciły się całować Tolka, mężczyźni ściskali go i poklepywali, ktoś wreszcie krzyknął:

— Do mera! Na kolację!

Zaprowadzono Tolka w tryumfie do mera, miłego staruszka, który jakby tylko czekał, aż mu gość spadnie z nieba. Wyciągnął z duchołki pieczoną gęs z jabłkami, zza okna kalafiorową sałatkę, a z piwnicy parę butli wina. Na jedzeniu, popijaniu i rozmowie, prowadzonej za pośrednictwem niezmordowanego Stanisława, noc zeszła jak nie można przyjemniej.

*

Rano, na rowerze, w towarzystwie Stanisława, Tolek pojechał na pobliskie lotnisko amerykańskie. Pierwsza postać ujrzana w kantonie wydała mu się znajomą.

— Bolek!

— Tolek!

Padli sobie w objęcia i cmokali z dubeltówki, jakby się nie widzieli co najmniej od trzech tygodni. Bolek wyjaśnił, że lądował w pobliżu i całkiem bezboleśnie.

— Właściwie — stwierdzili obaj przyjaciele — wyskoczyć z samolotu to akurat to samo co wysiąść z tramwaju. Żadna sztuka...

Prozaiczna czynność opuszczenia tramwaju widocznie jednak frapowała Amerykanów, bo cała stacja przyszła kolejno uściśnąć ręce Polakom. Tolka i Bolka rozbolały dnie niczem księcia Walii przy wizytacji przytułku dla emerytowanych ministrów. A kieszenie ich tak rozpętnały od ofiarowanej gumy do żucia, że do końca życia mogli rywalizować ze stadem krów.

Z głębi kuchni wytoczyła się otyła kobieta. Rozpychając potężnymi przyczołkami piersiowymi krę Amerykanów, dopłynęła do Polaków.

— Rodacy! — wykrzyknęła i schwyciwszy ich głowy, wtuliła je w swe dwie miękkie kopy siana.

Nie tracąc czasu, pani Bulińska opowiedziała swe dzieje:

Prowadziła przed wojną w Tczewie małą restauracyjkę, słynną z doskonałej kiełbasy z kapustą. Niemcy z Gdańska przyjeżdżali specjalnie, by się nią obżerać. Po wrześniu klientela szwabska jeszcze wzrosła. Patriotyczna pani Bulińska postanowiła herren-swoć u-karać. Jęła im podawać kiełbasę z kaszą jaglana.

— A gdzie kapusta? — pisały lakome durnie, oblane sosem brunatnych mundurów.

— Nie ma kapusty! — odpowiadała zawzięta pani Bulińska.

Przez rok Niemcy daremnie błagali o kapustę, wreszcie głodni i rozwścieczeni wywieźli panią Bulińską na roboty przymusowe do Luksemburgu. Tam oswobodzili ją Amerykanie. A dowiedziawszy się o jej talentach kulinarnych, zaangażowali ją jako chochlę naczelną do messy lotniska.

— Bardzo mi tu dobrze — zwierzyła się pani Bulińska — mam 1.000 franków tygodniowo, czysty pokój, szacunek ogólny, porządnie urządzoną kuchnię, samolot do dyspozycji i tylko jedno ciężkie zmartwienie.

— No cóż takiego? — zapytali Tolek i Bolek ze współczuciem.

— Amerykańcy nie chcą jeść kapusty! Gotuję im świeżutką, mięciutką, pulchną — jak ciałko nowonarodzonego dzieciątka — a oni jej do ust nie biorą. Kielbasę wcinają z lodami! Aż mi się zimno robi na takie kazirodztwo.

— Może się jeszcze poprawią... — Daj Boże! Bo jak ma być dobrze na świecie, kiedy te świnię — Niemcy rozumieją, że kapusta to cud, a ci cudowni Amerykańcy uważają, że kapusta to świństwo!

Tolka i Bolka usadzano do śniadania. Zaszewczyli ich języki na widok soków pomarańczowych, jaj sadzonych, plasterów szynki, malinowych konfitur... Ale despotyczna pani Bulińska odsunęła to wszystko z pogardą i ustawiła przed nimi wielką miskę dymiącej kapusty.

— Zjadać! — rzekła — a dużo, by dać dobry przykład.

Bohaterom rzredły miny. Potulnie przełknęli parę łyżek i — poczuł brak apetytu. Na szczęście wezwał ich komendant stacji.

— Nie mamy samolotu pasażerskiego — oświadczył — więc odesłamy was jeepem. Wasze lotnisko jest o 250 km stąd. Wszystkie

stacje po drodze są zawiadomione. Good luck! A jeśli kiedyś będziecie w Bostonie, USA, pamiętajcie, że mój zakład pogrzebowy „F. F. Puk ojciec i dziadek” jest bezkonkurencyjny. Wytworna kaplica, ujmująca obsługa, całuny z prawdziwego jedwabiu, nowoczesne trumny o opływowych liniach... Dla starych znajomych zawsze zniżka...

Tylko wrogowie własnego szczęścia mogli pogardzić tak rozkoszną perspektywą. Nie będąc całkowicie ograniczonymi matałami, Tolek i Bolek rozplętnęli się w podziękowaniach i obietnicach skorzystania z miłej oferty przy pierwszej okazji. Potem pożegnali się wedle oficjerskiego rytuału, tj. zamachali ramionami jak semafony przy węzłowym dworcu i nałomotali się obcasami niczem primabalerina tańcząca kozaka na galowym przedstawieniu.

Już siadali do jeepa, gdy dopadła ich pani Bulińska.

— Do widzenia, drogie chłopaki — kwiknęła — a tu na drogę — macie prezencik ode mnie!

I wsunęła każdemu do rąk wielką torbę gorącej, pachnącej kapusty.

*

Rozstawnymi jeepami, od oddziału do oddziału, Tolek i Bolek sunęli w kierunku domowego lotniska. Ciasny, niewygodny wehikuł o twardych ławkach dawał im się mocno we znaki i wkrótce rozbolały ich potężnie gnaty.

— Teraz rozumiem — mruczał Bolek — dlaczego mój pradziadzio był taki niezadowolony, gdy go Moskale taszczyli kibitką na Sybir. Jasne, że jeep to po prostu zmotoryzowana kibitka!

Pomysłowy Tolek, zamiast pakować sobie kapustę do ust, rozścielił ją sobie pod siedzeniem. Okazała się miękka, ciepła poduszką. Bolek poszedł za jego przykładem i również poczuł od razu wielką ulgę. Tak to niekiedy drobna zmiana w sposobie użycia produktów spożywczych prowadzi do rewelacyjnego odkrycia.

Błogostawiąc panią Bulińską, Tolek i Bolek dobrnęli do swej stacji koło 5 po południu. Właśnie odbywało się nabożeństwo. Papież zezwolił na odprawianie mszy św. w nocnych dywizjonach pod wieczór, a że mężczyzna przed swym 47. lotem bojowym jest równie pobożny jak przed swym pierwszym ślubem, więc wszystkie załogi kłęwały żarliwie.

Ujrawszy dwóch zaginionych kolegów wysiadających z jeepa, hurma lotników obiegła ich natychmiast. Rozległy się okrzyki:

— Patrzcie! Żyją nasze fajtki!

— Co? Ładowaliście gdzie przymusowo?

— Zestrzelili was?

— A myśmy się tu akurat modlili za wasze ocalenie!

Rzadko kiedy dobry skutek pacierzy jest tak szybko widoczny. Rozradowana czereda porwała Tolka i Bolka do kasyna. Gołac kieliszek po kieliszku, musieli opowiedzieć szczegółowo swe przygody. Po udanych lotach, poza *interrogation* oficerem, nigdy nikt nie był ciekaw ich historii. Ale teraz, po kompletnej plaście, obaj pechowcy stali się bohaterami dnia.

*

Po paru dniach dowódca skrzydła — Anglik — wezwał Tolka i rzekł:

— Pan zakopał swój spadochron pod drzewem, w liściach?

— Yes, Sir!

— Spadochron jest z czystego jedwabiu i kosztuje 80 funtów. Warto go odnaleźć. Niech pan pojedzie do tego lasu i przejrzy kupę liści.

Tolek przyznał wing-commandorowi służność. Wojna i tak kosztowała Imperium 13 milionów funtów dziennie. Nie było żadnej racji, by tę sporą sumkę jeszcze powiększać. Uprosił więc pilota Mietka, który terkotał po francusku niczem papuga urodzona w Paryżu, by mu towarzyszył. Dosiadłszy Mosquit'a, frunęli na amerykańskie lotnisko, a stamtąd jeepem podturlali się w stronę lasu.

— Zdaje się, że to gdzieś tu! — bąknął Tolek.

Zostawili auto na drodze i podrałowali przez zorane pola, na przełaj do lasu. Słońce

świeciło jasno, jak latarnia uliczna w dobrych przedblackoutowych czasach, ptaki wydierały się niczem głośniki radiowe, ziemia pachniała jak autentyczne perfumy Chanel'a kupione na czarnym rynku. W oddali jacyś ludzie gmerali po skibach.

— Chodźmy do nich — zaproponował Mietek — rozpytam się ich, może nam pomogą...

Szli wielkimi krokami, machając rękoma, rozmawiając głośno. Nurknęli między dwoma pagórkami, wyhynęli na wierzch i stwierdzili ze zdziwieniem, że nie ma nikogo. Ludzie gdzieś znikli — jakby sprzątnięci przez Gestapo.

— Czort z nimi — rozgniewał się Tolek — szkoda czasu. Ot, jest las. Jakies 20 kroków od skraju, pod drzewem z rozłupanym pniem, na wpół w liściach, na wpół wśród konarów, ukryłem spadochron. Ja pójdę w prawo, ty w lewo — i wypatrujmy dziuplastego drzewa.

— Right ho!

Rozdzielili się. Tolek kroczył zrazu żwawo, pogwizdując. Potem zamilkł i uderzyła go cisza. Ani jeden ptak nie świergotł, ani jedna gałąź nie zaskrzypiała, las jakby zamarł. Wydało mu się, że przed nim cień człowieka mignął poprzez ścieżkę. Po chwili jakby inny człowiek zza jednego drzewa przemknął się za drugie...

Tolkowi zrobiło się nieswojo. Miał nieprzepatne wrażenie, że las jest naszpikowany śledzącymi go ludźmi. Nie wiedział, czego się boi, lecz czuł instynktownie — jak tłusty indyk przed Wielkanocą — że coś mu grozi.

Stanął przed dużym, gęstym krzakiem. Serce zabiło mu mocniej, ścisnęło go w żołądku, miał pewność, że się tu ktoś czai. Więc rzekł do krzaka swym rozbajającym akcentem:

— Bonzur Mossier!

Rozchyliły się gałęzie i z krzaka wyłazło krępe, kosmate, rude chłopisko. Twarz miał skurczoną — jak zły pies, oczy błyszczały mu złowrogo, w każdym ręku trzymał po granacie. Lypnął nienawistnie na Tolka i zamachnął się...

A Tolek powtórzył słodkim głosikiem:

— Bonzur Mossier! Moi — Polonais!

Zajmująca ta informacja wywarła na rudym drabie wstrząsające wrażenie. Schował granaty do kieszeni i głośnym krzykiem jęł wzywać swych towarzyszy.

Z głębi lasu nadciągnęło pół tuzina rozczochranych, groźnych oberwańców. W nich nie przypominali oni grupki kanoników, schodzących się na obiór nowego biskupa. Patrzyli społe i nawet niedoświadczony jaroż wyczułby ich gwałtowną chętkę zamienienia porcji sztuki mięsa na siekane kotlety.

Nadbiegł i Mietek. Ruszył na szybkich obrotach wywiczonym w Paryżu językiem i oto co wyszło na jaw:

Ci ludzie o niesympatycznych zamiarach byli z „maquis”. Kołowali się w okolicy przez parę lat, psocąc ile sił Niemcom. Gdy zostali oswobodzeni przez Aliantów, odebrano im broń i poradzono iść do domu macać kury. Prowodyr bandy kończył:

— Tak się złożyło, że od dawna nie zabiliśmy żadnego Szwaba. Ale mamy na to straszną ochotę! Tutaj widzimy tylko Amerykanów — w zielonawym khaki. Gdy więc spostrzeżliśmy was dwóch — w tych niebieskich mundurach — kłusujących przez pole, pomyśleliśmy wnet: „Dobra nasza! To jakieś pruskie żołdaki uciekają z niewoli; chcą się przeszwarcować do Rzeszy. Ciukniemy ich!” Zapadliśmy tedy w las i czekali, aż wejdziecie głębiej, by poczostować was granatami. Plan był doskonały i udałby się na pewno. Jedyną przeszkodą to, że okazaliście się Polakami...

Rudy drab, który się czaił w krzaku, westchnął rozzdzierająco:

— Wojna się skończy, a ja nie będę miał ani jednego trupa niemieckiego za sobą. Dlaczego wy jesteście Polakami? Ah, quelle malchance!

*

Mimo wywrócenia lasu podszewką do góry, spadochron się nie odnalazł. Tolek stękał: — Nie rozumiem! Przecie nikomu, prócz Stanisławowi, nie wspominałem, gdzie go zarył. Wzbiło się licho w powietrze, czy co?

Wracał jeepem, lotnicy zboczyli do wioski, w której Tolek spędził gościnną noc. Powitano ich tam z entuzjazmem. Wszyscy byli pijani w pestkę i wyglądali jak gąbki leżące od 3 dni na dnie beczki z winem. Stanisław był w takim stanie, że nawet stary Noe zgorszyłby się jego widokiem. Objąwszy Tolka za szyję, bełkotał:

— Za twoje zdrowie pijemy, mon vieux! I za twoje spuszczone nam z nieba 40.000 jedwabnych franców...

— Co — burknął domyślny Tolek — więc to ty zwędził spadochron z lasu?

Stanisław wetknął mu szklanę wina w dłoń i zaczkawał:

— Tsss! C'est nasz wspólny secret! Ale pamiętaj — jakby ci się kiedy jeszcze zepsuła maszyna — gdzieś tam w górze — skacz z parasutem prosto ici. Znasz już miejsce, ciebie znają... Seulement, uważaj, nie zapomnij wziąć jedwabnego paraszuta z sobą...

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Jerusalem, Hassolei Street No. 9
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

LENA ZELWEROWICZ

PIERWSZA NOC W NIEWOLI

*Cisza mi na ramieniu przysiadła, jak sowa,
Wieje nudą z żarówki i od białych koców,
Jakże uciec od ciebie i dokąd się schować —
Pierwsza w długim szeregu beznadziejnych nocy?*

*Pustym niebem wiatr obcy gna obce obłoki,
Warta chodzi za oknem — stary, tępy Prusak.
Ciemna ziemia niewolna snem dyszy głębokim.
W górze słychać huk eskadr. Lecą gdzieś na Hamburg...*

*Druty, druty koleczaste, wiatr wiejący nisko,
Reflektory, miarową błyskające smugą...*

*Nastrosz pióra, siadź bliżej kosmate ptaszysko:
Zostaniemy ze sobą, może bardzo długo...*

